AS



Nr. 11
13 MARCA 1938 R
CENA 40 GROSZY

Wspomnienie nocy karnawałowej

Fot. Imre von Santh

WIOSNA NA KASPROWYM





Widok na Orlą Perć i Świnicę.





Widok na Halę Gąsienicową.



Tomanowa Przełęcz od strony słowackiej.



Giewont, widziany z Kasprowego.



Na tarasie Obserwatorjum Astronomicznego na Kasprowym.



Na dolinach i nizinach ciepły powiew wiatru i słońce podchodzące coraz wyżej, stopiły już śniegi i wydobyły z pod ziemi na południowych stokach kępki młodej trawy i pierwsze kwiaty przedwiośnia. Rozwijają się bazie na rokicinach i na leszczynowych prętach. W pogodne dnie w południe ma się czasami pełne złudzenie wiosny, aczkolwiek od wiosny astronomicznej dzielą nas jeszcze dwa tygodnie. Tak jest na nizinach.

A tymczasem w górach króluje w całej pełni wspaniała legenda zimowa. Tatry pokrywa gruba warstwa puchu śnieżnego, grającego w przedwiosennem słońcu mirjadami tęczowych skier. W górach jeszcze się nawet nie zaczęła walka wiosny z zimą. Ta walka przyjdzie dopiero gdzieś w połowie maja. Narazie tylko słońce, wysoko już na niebie królujące przygrzewa mocno w kotłach górskich, a odbite wielokrotnie od śniegu jego promienie, opalają na bronz twarze zwolenników białego sportu. W Tatrach rozpoczął się najpiękniejszy okres i właściwy sezon dla uprawiania sportów narciarskich. Kiedy na nizinach panują mgły i padają deszcze, w górach drzewa okrywają się puszystą szedzią szronu, a stoki górskie warstwą świeżego śniegu. Kiedy na nizinach przygrzewa słońce, wywabiając kwiaty z pod ziemi, w górach to słońce nadaje kolorytu i legendarnego uroku wierchom, graniom i stokom, pokrytym śniegiem.

Zakopane, zimowa stolica Polski, teraz dopiero nabiera życia i swoistego uroku. Zbocza górskie zaludniły się narciarzami, odbywającymi przy wspaniałej, słonecznej pogodzie dalekie wyprawy i wycieczki. Radość i śmiech królują tu niepodzielnie. Najludniej jest obecnie przy stacji kolejki linowej w Kuźnicach i najludniej jest na Kasprowym. Wagoniki kolejki linowej przewożą codziennie na szczyt Kąsprowego setki nietylko narciarzy, ale i tych, którzy ze szczytu tatrzańskiego chcą zachwycić oczy wspaniałą, królewską pięknością Tatr, spowitych w śnieżną biel, na której słońce maluje tęczowe, kolorowe arabeski.

Wszystkie zdjęcia: Dr. WACŁAW SZPERBER, Kraków

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 11 | Niedziela, 13 marca 1938 | Rok IV

ASY NUMERU 11-GO:

WIOSNA NA KASPROWYM.
Piękno natury górskiej, uchwycone objektywem fotograficznym. Str. 2.

Placówki dyplomatyczne w Warszawie:
AMBASADA FRANCUSKA.
Jak się przedstawia nowa siedziba ambasadora Republiki francuskiej, zbudowana w parku Frascati? Str. 4—5.

„TEATR NIEZALEŻNY".
O jedynej w swoim rodzaju scenie, która, założona tuż przed wielką wojną we Lwowie, wniosła w polskie życie teatralne dużo cennych walorów. Str. 6—7.

WSPOMNIENIE NOCY KARNAWAŁOWEJ.
Reportaż z najbardziej udanej imprezy karnawału krakowskiego — „Balu Maskowego" Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich. Str. 8—9.

BOCKI WRACAJĄ...
Najbardziej charakterystycznym ptakiem przylatującym z wiosną jest bocian, którego życie i zwyczaje od wieków budziły zainteresowanie ludzi. Str. 15.

„WELLESLEY COLLEGE".
Odpowiednikiem uniwersytetów w Oxfordzie i Cambridge jest dla kobiet amerykańskich „Wellesley College", w którem życie studentek obfituje również w liczne imprezy sportowe. Str. 16—17.

CHAPEAU BAS!
Ukłon, który nieraz znamionuje charakter człowieka, przechodził przez wiele przemian, nabierając ostatnio cech politycznych. Str. 18—19.

Przebój muzyczny „Asa":
ACH, TE BOCIANY!
Foxtrot St. Witczyka. Słowa L. Janickiego. Str. 22.

ZANIM OTWORZYMY OKNA...
Rola mebli w okresie zimowym. Str. 27.

Salon kosmetyczny „Asa":
PANI W KĄPIELI.
Przepisy na różnorodne wzmacniające, zdrowotne kąpiele, przy pomocy których zachowamy świeżość i elastyczność skóry. Str. 28.

Nowele. — Kącik filatelistyczny. — Dział gospodarstwa domowego. — Gimnastyka. — Moda kobieca. — Humor i rozrywki umysłowe. — Nowe książki. — Na scenie. — Program radjowy.



W znanej włoskiej miejscowości klimatycznej Cortina d'Ampezzo bawił na nartach ks. Fryderyk Wilhelm, b. kronprinz niemiecki, którego widzimy w towarzystwie hr. Wery Bobrowskiej, artystki scen warszawskich.

III Ambasada francuska



Powyżej w kole: Sylwetka wieży Eiffla wznosi się nad Paryżem, jako charakterystyczny symbol miasta.

Dopiero teraz przystępujemy do opisu ambasady francuskiej w Warszawie, ponieważ trzymamy się systemu etykietalno-protokólarnego. W rzeczywistości wszakże, jeżeli chodzi o pałac ambasady, to należy mu się pierwsze miejsce nietylko w Warszawie, ale — wszyscy to przyznają — nawet na świecie. Trochę w tem, oczywiście, szczęśliwego trafu, że jest to najmłodszy pałac dyplomatyczny na świecie, został więc zbudowany zgodnie z najbardziej nowoczesnemi wymaganiami. Gmach ambasady położony jest w parku Frascati, a zarazem niemal w sercu śródmieścia. Ma więc jednocześnie i tak wielce pożądaną izolację, a jednocześnie położenie centralne. Został też tak skonstruowany, aby w jednym kompleksie budowlanym zmieścić zarówno wszelkie biura wszystkich działów ambasady i konsulatu, jak również salony recepcyjne i apartamenty prywatne rodziny ambasadora.

Trzonem pałacu jest dawna rezydencja hr. Branickich, z gruntu przebudowana i powiększona przeszło w trójnasób. Długość frontonu wynosi przeszło półtorasta metrów, a przecież są jeszcze wejścia z bocznych fasad. Za dawnych czasów w głównej części obecnego gmachu mieściły się długie lata aż dwa poselstwa (rumuńskie i duńskie) razem, dziś wielokrotnie powiększony imponujący pałac mieści tylko ambasadę francuską.

Ambasada została uroczyście otwarta zaledwie w ub. roku. Inauguracja została uczczona wspaniałym rautem, który zaszczycił swoją obecnością P. Prezydent R. P. Sprowadzono specjalnie artystów z „Comédie Française" i najbardziej czołowe gwiazdy baletu Opery Paryskiej, by swemi popisami uświetnili ten raut, który rzeczywiście wywarł niezapomniane wrażenie i na gościach pp. ambasadorostwa Noël. Równie serdecznie dziękowano im za pierwszy bal w tym gmachu. Wspaniałość tego balu przekroczyła wszystko, co się widywało na warszawskich balach dyplomatycznych do tej pory.

Skoro, zresztą, już o balach mowa, to trzeba przyznać, że ambasada francuska zawsze w tej dziedzinie przodowała. Poprzednicy pp. Noël na placówce warszawskiej — pp. Juljuszostwo Laroche — nie mieli, coprawda, do dyspozycji tak wspaniałych apartamentów ,ale potrafili w zajmowanym przez siebie pałacu ks. Czartoryskich w Al. Ujazdowskiej także wydać kilka balów, o których do dziś jeszcze się mówi. Szczególną sławą cieszył się t. zw. „biały bal", na którym wszystkie panie były w bieli, oraz bal p. t. „Les livres animés". Na tym ostatnim balu zaproszeni symbolizowali strojem jakiś utwór literacki. Okazało się, że najdowcipniejszemi pomysłami były najprostsze. A więc przyszedł pan normalnie we fraku. Gdy go przy wejściu zapytano, jaki utwór symbolizuje, wskazał na swój frak i rzekł: „Dobrze skrojony frak", komedję w trzech aktach Melchjora Lengyela. Nagrodzono go burzą braw. Ponieważ grana była wtedy sztuka „Adwokat i róża", pewien popularny mecenas przybył na bal z ponsową różą w butonierce i tak „we dwoje z różą", jak powiedział, symbolizował tę sztukę. Wreszcie ówczesny poseł holenderski, Engelbrecht, przybył z małżonką — uroczą blondynką — i z pewnem jeszcze również jasnowłosem małżeństwem. Wszyscy czworo trzymali się pod ręce i oświadczyli przy wejściu: „Mężczyźni wolą blondynki", zgodnie z tytułem znanej podówczas książki Anity Loos. Oczywiście, było też bardzo wiele osób w kostjumach nader skomplikowanych i kosztownych.

Dyplomatyczni przedstawiciele Francji w Polsce odrodzonej nie zmieniali się, zresztą, zbyt często. Zato godne uwagi jest, że Francja przodowała w nawiązywaniu stosunków dyplomatycznych z odrodzoną Polską. Pierwszy jej poseł p. Paul Pralon przybył do Warszawy 1 maja 1919 r. jako pierwszy wogóle poseł w Polsce po odzyskaniu niepodległości. — Urzędował tu, zresztą, niespełna rok. Został potem posłem francuskim w Oslo, a następnie w Lizbonie, poczem przeszedł na emeryturę. Dnia 23 marca 1920 r. w okresie wojny polsko-sowieckiej wręczył swe listy uwierzytelniające jego następca p. André de Panafieu, aby wręczyć je ponownie 6 grudnia 1924 r., jako pierwszy ambasador (poza nuncjuszem, mającym tę rangę „ex officio") w stolicy odrodzonej Polski. I znów pierwszy krok w kierunku uznania w ten sposób mocarstwowości nowej Polski uczyniła Francja, zawsze najwierniejsza i najserdeczniejsza nasza sojuszniczka i orędowniczka. Po sześcioletniej owocnej pracy w Warszawie p. de Panafieu przeszedł na emeryturę, a na jego miejsce przybył w przededniu niemal przewrotu majowego p. Juljusz Laroche, który wręczył swe listy uwierzytelniające dnia 29 kwietnia 1926 r. Po siedmiu latach chlubnego piastowania swej godności został przeniesiony do Brukseli, a niedawno uzyskał zasłużoną emeryturę. Do Warszawy mianowano ówczesnego posła w Pradze p. Leona Noëla, który został ambasadorem w Warszawie 26 maja 1935 r. i już kończy trzeci rok swej działalności ogromnie cenionej zarówno we Francji, jak w Polsce. P. Noël jest wspaniałym postawnym mężczyzną w kwiecie wieku, o pięknej ujmującej postaci. Wysokie czoło, mądre, myślące oczy, ujmujący uśmiech — czynią zeń indywidualność, odrazu rzucającą się w oczy i zgóry przychylnie usposabiającą. Jego małżonka jest — mimo wysokiego stanowiska — uosobieniem prostoty, skromności, spokojnej a wytwornej dystynkcji — bez odrobiny blichtru, pełna godności — bez krzty napuszonej dumy. Trudno sobie też wyobrazić, jak bardzo oboje lubiani są w Warszawie i jak licznie składano „hommage" pani ambasadorowej na jej przemiłych „wtorkach", gromadzących całą elitę towarzyską stolicy, jak również świat naukowy, literacki, polityczny i artystyczny.

Odwiedzając nowy pałac ambasady francuskiej w parku Frascati, jesteśmy odrazu oczarowani przepychem hallu, w którym rzuca się w oczy alabastrowa klatka schodowa i takież ściany. Schody i podłoga z ciemnego marmuru. — Chodnik „moquette" w chabrowym odcieniu „bleu-roi". Nad schodami piękny gobelin, po bokach dwa nowoczesne złocone „appliqués" o 9 odgałęzieniach świetlnych każda. Wielki żyrandol ze złoconego bronzu z 24 świecami. Imponujące wrażenie wywierają kratowane drzwi z pozłacanego kutego żelaza, prowadzące do długiej galeryjki-kuluaru, łączącego krańce salonów. Na konsolkach w stylu Ludwika XV widzimy tu alabastrowe wazy. Dyskretnie ukryte światło delikatnie je oświetla. Hall i kuluar są naogół utrzymane w stylu najzupełniej nowoczesnym. — Rozpoczynamy przegląd salonów od wielkiej sali recepcyjnej, składającej się z kilku części, zaznaczonych kolumnami. Wszystkie meble ambasady pochodzą z t. zw. „Mobilier National", własności państwowej, gromadzącej najcenniejsze meble i produkującej nowe na użytek państwowy w kraju i zagranicą. Większość mebli tych salonów recepcyjnych — przeważnie z drzewa orzechowego — utrzymana jest w stylu Ludwika XIV. Wyściełane są aksamitem „frappé" w kwiaty utrzymane w barwach różowo-beige. Piękny dywan z ludwikowej „Savonnerie", ozdobiony liljami burbońskiemi zwraca ogólną uwagę. Drugi dywan jest już nowoczesny z brązowej „Haute laine". Jest tu także kilka mebelków nowoczesnych, nowej również ceramiki i lamp. Na ścianach cenne gobeliny. Godne wymienienia są też w tych połączonych salonach: śliczny stolik marmurowy, drugi — chiński z obrabianej skóry, cedrowy sekretarzyk i piękny fortepian mahoniowy „Gavau", na którym stoi prześliczna waza z zielonkawego, jakby musującego szkła.

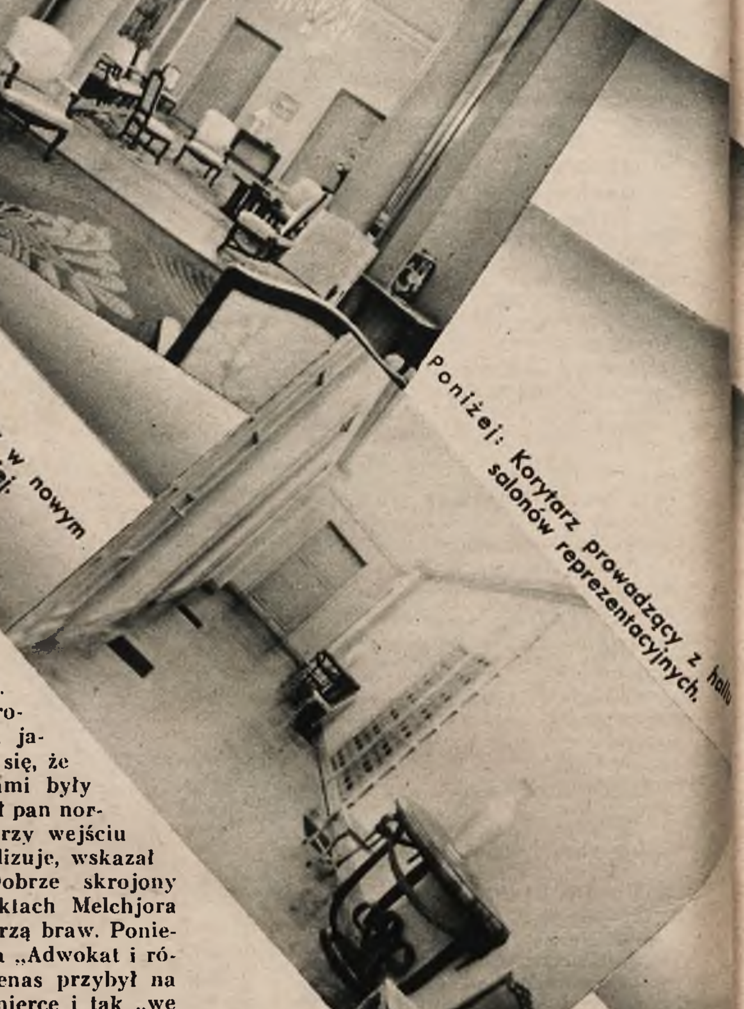
Na lewo wchodzimy do wielkiej sali balowej, gdzie odbyły się wspomniane już występy artystów paryskich na raucie inauguracyjnym ub. r. i gdzie tańczono ochoczo na pierwszym balu, wydanym w ostatki b. r. Tu rzucają się w oczy przedewszystkiem dwa wspaniałe gobeliny z liljami burbońskiemi, pochodzące z XVIII w. Krzesła w stylu Ludwika XIV ze złoconego drzewa, wyściełane brokatelą „Chaudron". Pod gobelinami kanapy z wyhaftowanymi inicjałami R. F. („République Française"). Posadzka z jasnego dębu, ściany obite tkaniną z kremowego jedwabiu, a z sufitu zwisa sześć imponujących żyrandoli. z kryształu i złoconego brązu. Na jednej ze ścian trzy symbole: braterstwa (uścisk dłoni), równości (waga) i wolności (ptaszek wyfruwający z klatki) — wszystko w obramowaniu złotych kłosów. To zamieszczenie czołowych zasad republiki francuskiej jest wielce znamienne — jako wyraz niezmiennej im wierności.

Sala balowa łączy się z wielkim salonem stołowym o podłodze i ścianach z alabastru. Na jednej ze

Dokończenie na str. 26-ej.



Powyżej: Salon reprezentacyjny w nowym gmachu ambasady francuskiej.



Poniżej: Korytarz prowadzący z hallu salonów reprezentacyjnych.



Powyżej: A oto hall z pię- nemi marmurowemi schodami o oryginalnych linjach.

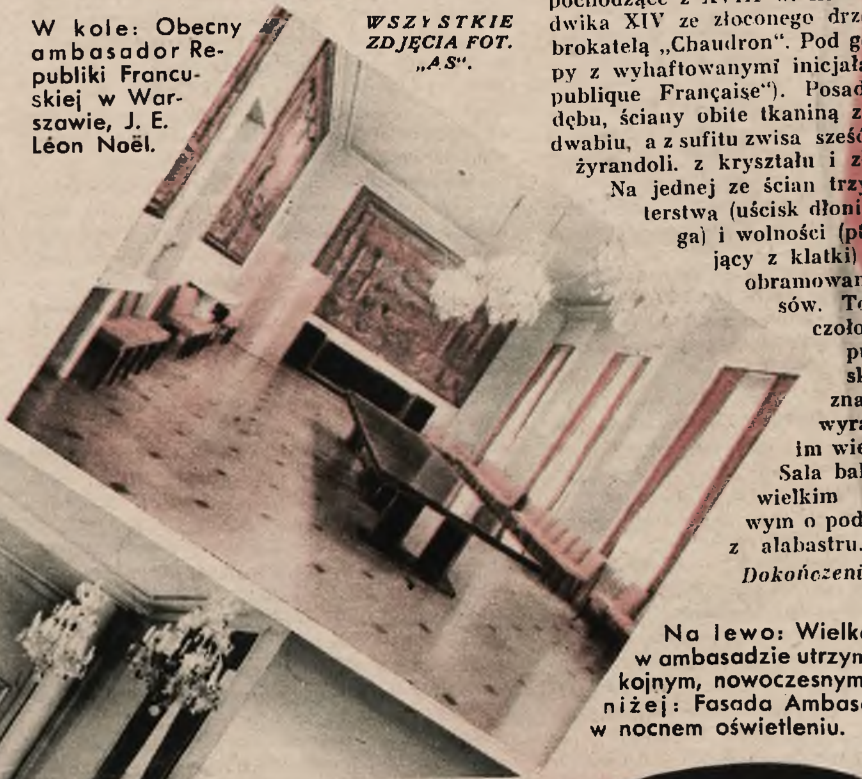


W kole: Obecny ambasador Republiki Francuskiej w Warszawie, J. E. Léon Noël.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. „AS".



Na lewo: Wielką salę balową w ambasadzie zdobi wspaniały gobelin i piękne żyrandole.





Na lewo: Wielka sala jadalnia w ambasadzie utrzymana jest w spokojnym, nowoczesnym stylu. — Poniżej: Fasada Ambasady francuskiej w nocnem oświetleniu.



„TEATR NIEZALEŻNY"



Fragment wystawy we Lwowie, urządzonej przed wojną przez „Teatr Niezależny": widoczne fotografje znanych aktorów z połowy XIX w. i programy różnych scen polskich.

Ceniony powieściopisarz i feljetonista Antoni Wysocki, umieszczający na łamach „Asa" cykl artykułów teatrologicznych, daje nam tym razem garść ciekawych wspomnień o jedynym w swoim rodzaju, założonym przez siebie przed wojną teatrze.

Stowarzyszenie „Teatr Niezależny we Lwowie" zostało założone trzy lata przed Wielką Wojną. Statut zatwierdziło Namiestnictwo, z tem, że wybory członków Zarządu mają być zgłaszane do Dyrekcji Policji, a egzemplarze sztuk teatralnych przedkładane cenzurze. Funkcje cenzora pełnił Adam Krechowiecki, redaktor urzędowej „Gazety Lwowskiej", znakomity powieściopisarz i przyjaciel Henryka Sienkiewicza.

Wówczas we Lwowie Teatr Miejski brnął w banałach repertuaru, i w szablonach gry i dekoracji. Na krótko zajaśniał talentem organizacyjnym Tadeusza Pawlikowskiego, ale, po powrocie Pawlikowskiego do Krakowa, tem żywsza była we Lwowie tęsknota do przejawów sztuki idealnej.

Dla tego celu na Zachodzie, we Francji, Niemczech i Włoszech, działały sceny niezależne od wymagań, tak zwanej „szerszej publiczności", „sceny wolne". Istoty przedstawień na tych scenach, w myśl haseł o „reformie teatru", przybierały krańcowo różne oblicza. W miejsce patetycznego tonu i posągowej pozy teatru klasycznego, a później mieszczańskiego, w Paryżu, Antoine, siłami amatorskiemi i nakładem wielu żmudnych prób, kopjował w sposób drobiazgowy, odtwarzał, prawdę, szarą prawdę życia i atmosfery. W ibsenowskiej „Dzikiej kaczce" podkreślał, może aż do przesady, zaniedbanie mieszkania fotografa, wady wymowy jego ojca i niechlujność wyglądu sublokatorów. Podobną metodę stosował w utworach innych mu współczesnych, które wprowadził na swej małej i ubogiej scenie, w utworach dramatycznych Becka, Zoli, Hauptmanna.

Realizm, naturalizm.

Wprost inaczej widział dzieła literatury dramatycznej, traktował motywy dzieł, symbolicznie, Georg Craig, fantasta. Przyjaciółka jego, Izadora Dunkan, słynna tancerka i inicjatorka tańca, ilustrującego utwory muzyczne, w pamiętniku swej artystycznej karjery opisuje rezultaty fantazyj scenicznych, stylizacji tła dzieł dramatycznych, w interpretacji jej uwielbianego kochanka.

„Gordon Craig był jednym z genjuszów największych, niepospolitych naszej epoki. To była istota, jak Shelley, zrodzona z ognia i błyskawicy.

Nie grając czynnej roli w życiu praktycznem sceny, przeistoczył cały nowoczesny teatr. Stał na uboczu i marzył, a marzenia te natchnęły wszystko, co sztuka dzisiejsza posiada pięknego".

Czy słynna tancerka nie „przesoliła" w pochwałach?

Za przykład może posłużyć „Rosmersholm" Ibsena.

Scena, wedle informacji autora, ma przedstawiać salon, komfortowo, w guście mieszczańskim, umeblowany, w miejscowości podmiejskiej, w Norwegji.

Jak to tło uplastycznił Craig?

Jako wnętrze świątyni egipskiej, z plafonem bardzo wysokim, podniesionym do obłoków i ścianami o nieskończonej perspektywie... A z okna widoczny krajobraz, zabarwiony na różowo, żółto, zielono, miał wyglądać jak brzegi Nilu...

Kto zrozumie, dlaczego?

Rebekę West w „Rosmerholmie" grała w tej dekoracji tragiczka Eleonora Duse. Z początku również, jak Izadora pod urokiem, Craiga, gdy jednak coraz bardziej zaczął się zarozumialstwem wobec niej popisywać, kazała mu wynosić się za drzwi.

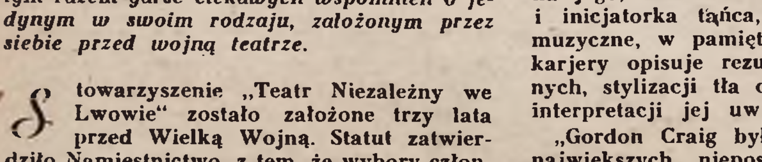
Tak skończyła się współpraca tych dwojga niezwykłych artystów.

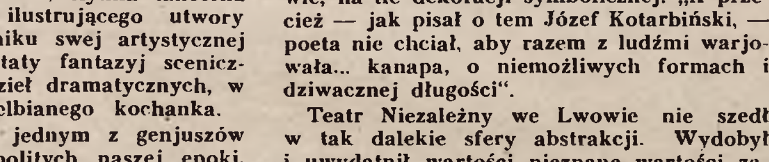
Pomysły Craiga nie pozostały w dziedzinie inscenizacji bez dalszego wpływu. Nie zawsze, w pogoni za nowością, w zgodzie z sensem.

Z symbolami wogóle lepiej... ostrożnie!

W lata później scenę sonambulizmu Orcia w „Nieboskiej" Zygmunta Krasińskiego odgrywano, w Teatrze Polskim w Warszawie, na tle dekoracji symbolicznej. „A przecież — jak pisał o tem Józef Kotarbiński, — poeta nie chciał, aby razem z ludźmi warjowała... kanapa, o niemożliwych formach i dziwacznej długości".

Teatr Niezależny we Lwowie nie szedł w tak dalekie sfery abstrakcji. Wydobył i uwydatnił wartości nieznane wartości zapoznane. Urządził pierwszą wówczas w Polsce Wystawę Teatralną. Wygłoszono kilkanaście (przez zaproszonych prelegentów) wykładów o sztuce dramatycznej. I szereg o teatrze konferencyj publicznych, w których wypowiadali się poeci, esteci, krytycy i publiczność. Przedstawienia teatralne od-





Od lewej: Jedna z scen „Uczty" Platona — **obok:** „Noc tysiączna i druga" Cyprjana Norwida na deskach „Teatru Niezależnego" we Lwowie.

bywały się w wynajętych przygodnie salach, Kasyna Miejskiego, Domu Katolickiego, Teatru Ludowego. Termin przedstawienia zapowiadały afisze na metr wysokie, skomponowane po malarsku, nie podając nazwisk aktorów-amatorów, tylko nazwisko prezesa stowarzyszenia i nazwiska reżyserów, Barwińskiego, Marczewskiego, Rygiera, Frączkowskiego. Wystawił Teatr Niezależny, nieprzyjęte przez Teatr Miejski, utwory utalentowanych młodych autorów, „Sęp" Marji Walewskiej i „Wolne duchy" Władysława Kozickiego, dalej, ze słowem wstępnem Romana Zrębowicza komedję-poemat „Noc tysiączna druga" Cyprjana Norwida, sztukę Gabrjeli Zapolskiej „Tresowane dusze", poemat dramatyczny Felicjana Faleńskiego „Dworzanie króla Marchołta", djalogi Juljusza Klaczki „Wieczory florenckie", a to z upoważnienia tłumacza z francuskiego prof. Stanisława hr. Tarnowskiego i w układzie scenicznym niżej podpisanego, wkońcu w układzie scenicznym tegoż „Ucztę" Platona.

Dokonanie tych zamierzeń, Wystawa Teatralna, wykłady o sztuce dramatycznej, Konferencje Publiczne, przedstawienia teatralne, było rezultatem wielu przygotowań.

Na Wystawie ukazano z przed wielu lat afisze, między nimi afisze o pierwszych występach młodziutkiej Heleny Modrzejewskiej, projeky architektoniczne i modele budynków teatralnych i scen, portrety autorów dramatycznych, portrety i fotografje aktorów w ich najwybitniejszych rolach, sztychy i ryciny w związku z życiem teatrów w kraju i zagranicą. Okazy, użyczone ze zbiorów prywatnych i publicznych, zgrupowano w salach, ubranych w dywany i kwiaty. Całość Wystawy, poczynając od barwy nadanej ścianom sal wystawowych, projektował malarz-artysta Balk.

Ceny biletów wstępu, tak na wystawę jak i na wykłady, były kilkunastogroszowe.

Wykłady odbywały się w dwóch innych salach. Prelegenci mówili o dziełach literatury dramatycznej, o sztuce aktorskiej i reżyserskiej, o malarswie dekoracyjnem, kostjumologji, charakteryzacji, o teatrach w minionych wiekach, misterjach religijnych, teatrach ludowych i wogóle na tematy, które z tej dziedziny życia umysłowego mogły zainteresować słuchaczów i obznajomić ich z rolą teatru, nie wyłącznie rozrywkowego.

Na Konferencjach Publicznych, żeby tak rzec, wiecach, przemówienia zgłaszających się do głosu zwracały się w kierunku aktualności. Stawiano zagadnienia, jakie wobec społeczeństwa ma teatr obowiązki? Czy jest rzeczą właściwą prowadzenie teatru, jako przedsiębiorstwa handlowego, czy też kierownictwo powinno ryzykować wystawianie utworów autorów młodych i nieznanych? I tak dalej.

Te rozważania i dyskusje omawiały później dzienniki i wywoływały echa na prowincji, co przejawiało się w nadsyłanych dziennikom i Teatrowi Niezależnemu korespondencjach.

Głównem zadaniem stowarzyszenia były starania o artystyczność przedstawień, mimo warunków najtrudniejszych. Nie było własnej sali, ani na koszty, prócz prywatnej, subwencji. Za to satysfakcją nielada było uznanie miejscowej krytyki. O „Uczcie" Platona, wystawionej pierwszy raz we Florencji, w 17-tem stuleciu, a drugi raz we Lwowie, wzmiankowały, via Wiedeń, pisma greckie.

We Lwowie wszyscy szli stowarzyszeniu „na rękę". Literaci, najczynniej Gabrjela Zapolska, Edwin Jędrkiewicz i Ludwik Skoczylas, prasa, instytucje społeczne, młodzież. Miło wspomnieć, że Związek Urzędników Prywatnych, jako właściciel Hotelu Georga, w którego salach została otwarta Wystawa Teatralna, tak jak i Izba Handlowa, udzielając lokal na wykłady o sztuce, wymówiły się od przyjęcia czynszu za wynajem, a to w celu przyczynienia się do pracy dla rozwoju kultury miasta i kraju. Nie brakło i zainteresowań ujemnych, kpin, szyderstw i karykatur w humorystycznych tygodnikach „Śmigus" i „Pocięgiel". Ale to tylko dodawało otuchy. Zarząd stowarzyszenia ogłosił konkurs na utwór dramatyczny. Zanosiło się na zorganizowanie spółki akcyjnej, gdy tymczasem na arenie świata potężniała akcja stron walczących.

Wojna!

Zespół członków stowarzyszenia rozprószył się, Teatr Niezależny zakończył swój pięcioletni żywot, na zawsze.

Antoni Wysocki.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowszy znaczek francuski.

Zamieszczamy dzisiaj pełny wykaz nowości za ostatnie dwa miesiące, zgodnie z życzeniem wielu Czytelników.

Niemcy wydały poza dwoma znaczkami, omówionymi już w „Asie", całą serję urzędową, przeznaczoną dla przesyłek wysyłanych przez „NSDAP" (partję nacjonalno-socjalistyczna). Obejmuje ona wartości: za 1, 3, 4, 5, 6, 8, 12, 16, 24, 30 i 40 fenigów i małą sensacją są tu właśnie sztuki za 24 i 16 fenigów, jakich dotąd jeszcze nigdy w Niemczech nie było. Prawdopodobnie egzemplarze niestemplowane należeć będą do rzadkości, gdyż przy ścisłej kontroli nie mogą się one dostać w ręce „pierwszego lepszego" filatelisty.

W Estonji ujrzał, nietyle „światło dzienne", co albumy zbieraczy, wielki blok łączący 4 znaczki dobroczynne wydane pozatem i pojedynczo. Są to wartości za 10, 15, 25 i 50 sent, do których oczywiście pobiera się identyczną stawkę na estońską „pomoc zimową". Z doświadczenia wiadomo, że estońskie znaczki bardzo zwyżkują i warto postarać się o nie zawczasu.

Dokończenie na str. 26-ej.



Najnowszy belgijski blok, z którego dochód przeznaczono na budowę pomnika króla Alberta nad rzeką Izerą.

WSPOMNIENIE NOCY *karnawałowej*



Od kilku lat, gdy nadejdzie karnawał, rozpoczynam wędrówkę po salach balowych, zawsze, niezmiennie z jednem pragnieniem, by znowu wyczuć zawrotny rytm dawno minionych feeryj tanecznych, wabiących przed laty oko bogactwem tualet i kostjumów, wyszukaną urodą danserek, elegancją legjonu causeur'ów a „biorących" każdego uczestnika owym nastrojem, o którym trudno byłoby powiedzieć, z czego się zrodził, kto go wniósł na pełne pogody i beztroski sale. — Czy może spływał wówczas na wirujące pary ze skrzypiec, co naprzemian potrafiły wyśpiewać najbardziej upojne melodje dawnych wiedeńskich walców, a zaraz potem nagłym zrywem smyczków wyczarowywały rytm porywającego mazura, czy może sami ludzie, którzy wtedy się bawili, umieli to robić inaczej, niż ci wszyscy, którzy dziś jak senne widziadła snują się znudzonym krokiem po niemal pustych wnętrzach, wystrojonych jak na przyjęcie nie tych, co żyją, lecz tych, którzy dawno odeszli...

Na lewo: Jeden z artystycznych kotyljonów, przygotowanych na bal przez uczenice Szkoły Przem. Art. i Sztuk Zdobniczych.

Tak — to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dawniej bawiono się lepiej. Kto pamięta zabawy z przed wojny i te, które urządzano jeszcze przed 17-stu laty, tuż po wojnie bolszewickiej — ten dziś właściwie nie ma co szukać na sali balowej. Niewiele się ona różni w wyglądzie i nastroju od każdego przeciętnego dancingu — może nawet stoi od niego znacznie „niżej", bo swym ogromem i oświetleniem all giorno odstrasza osoby, przyzwyczajone już do innych ram emocyj tanecznych i na balu czujące się dosłownie „jak nie u siebie w domu".





W pięknych stylowych kostjumach wystąpiły reprezentantki Szkoły Przemysłu Artystycznego i Sztuk Zdobniczych. Zdjęcia: Fot. „AS"

Na lewo: Grupa pań z królową balu p. Olgą Waiglówną (pierwsza od prawej).

Powody? — odpowiedź prosta: ludzie stali się przerażająco wygodni, może nawet więcej, niż wygodni — żeby nie powiedzieć, iż poprostu schamieli. Przykre słowo, ale najwłaściwsze na określenie tego, co się dziś obserwuje podczas nocy karnawałowej. Poezja i urok pierwszego kroku młodej panny na sali balowej — to dla wzrastającej dziś generacji powojennej taki sam przeżytek, jak sznurówka lub plaża przeznaczona wyłącznie dla kobiet. A mężczyźni? — tym już wogóle się nie chce fatygować. Ubranie frakowe wkrótce należeć będzie do legendy. Dziś posiada je zaledwie kilka procent z tych, którzy w noc karnawałową wychodzą, by się bawić. Smoking stał się u nas uniwersalnym strojem wieczorowym, powodując, że ci, którym usługują, nie różnią się wyglądem zewnętrznym od usługujących.

A nastrój? — O! tu niejeden podniesie głos protestu. Jakto? przecież nastrój jest i to jaki na dancingach i wielu balach! —



Na lewo: Komitet „Balu Maskowego S.D.K. z prezesem Syndykatu dr. Janem Lankauem (pierwszy od lewej) przy wejściu na bal w Grand-Hotelu.

A tak... nastrój jest. Ale dzięki czemu? Otóż dawniej wystarczyło spojrzenie oczu pięknej dziewczyny, aby młodzież szalała i tłumnie szła w zawody o palmę pierwszeństwa w kadrylu, mazurze, czy kotyljonie. — Dziś nastrój stwarza... wódka i ona nadaje ton zabawie — tej dancingowej.

Lecz bądźmy dobrej myśli! Coraz częściej bowiem podejmują inicjatywę ludzie, którzy pragną wznowić tradycję dawnych, nobliwych zabaw karnawałowych w Polsce. Stolica, a za nią i inne większe miasta naszego kraju, z Krakowem na czele, powoli zaczynają się wyzwalać z wszechwładnej dotąd tyranji dancingów i wulgarnych „boites de nuit". Może więc już wkrótce nastąpi naturalny „rozdział od stołu" pomiędzy niemi a balem — naturalny, bo dancing stworzony został na codzień, a bal pozostanie najlepszą formą karnawałowej zabawy.

* * *

W ostatki urządził Syndykat Dziennikarzy Krakowskich wielki „Bal Maskowy", który stał się prawdziwym ewenementem



Ogólny widok pomysłowo udekorowanej sali balowej w Grand-Hotelu podczas „Balu Maskowego" S. D. K.



Fragmenty balu były transmitowane przez radio — przy mikrofonie speakerzy (od lewej): Red. A. Wasilewski, red. dr. I. Kleszczyński, dr. Reguła z Polskiego Radja, p. Teresa Suchecka, p. M. Węgrzyn i red. J. Janowski.

sfer towarzyskich Krakowa i jego okolicy. Po długim i mało ożywionym zimowym sezonie tanecznym zbudzono Księcia Karnawału w chwili, gdy miał już abdykować na rzecz swego następcy — władcy królestwa Postu i Pokuty. Zbudzono i w triumfie wprowadzono na sale Grand-Hotelu, gustownie i pomysłowo na tę ostatnią noc karnawału przyozdobione przez grono artystów-malarzy pp. Brzeskiego, Strychalskiego i Żmudę. Pięknym dla oka i pełnym najlepszych tradycyj wstępem balu był mazur, który odtańczył zespół baletowy p. Very Zahradnik, dając początek ogólnej zabawie. W programie jej nie brakło wielu imprez, które emocjonowały liczne grono wytwornej publiczności. Wybory królowej i króla balu, którymi zostali: p. Olga Waiglówna, bratanica znakomitego uczonego lwowskiego i p. Wiktor Biegański, znany artysta dramatyczny i reżyser teatru krakowskiego — oraz kotyljon z konkursem tańca, wzbudziły największe zainteresowanie.

Z przeprowadzonej przez krakowską radjostację, a przygotowanej przez red. Antoniego Wasilewskiego transmisji fragmentów balu, dowiedzieliśmy się o interesującej historji gmachu dzisiejszego Grand-Hotelu, w którego salach odbywała się zabawa. Budynek ten wedle zapodania znanego historyka i miłośnika Krakowa, Adama Chmiela, powstał z połączenia trzech kamienic, które w XVIw. należały: narożna do Briccego Wężyka z Chrząstowic, stąd „Wężykowską" zwana, a sąsiadujące z nią do drukarza Macieja Wierzbięty, wymieniane w spisach jako „Wierzbięcińskie". W XVII wieku połączono te trzy kamienice w jedną całość i ich własność przepisano na Moszyńskich. Kolejno właścicielami dzisiejszego Grandu byli: Jan Grodzicki, cyrulik i chirurg miejski, Jan z Dembian Dembiński i jego syn starosta wolbromski Franciszek, ożeniony z Urszulą Morsztyn, słynną panią krakowską, która pałac kazała otoczyć słupami kamiennymi i łańcuchami, „aby gawiedź nie miała dostępu". Proces o usunięcie tych słupów, jaki miasto wytoczyło apodyktycznej starościnie, toczył się przed trybunałem krakowskim zgórą przez lat 7.

W r. 1873 pałac przeszedł na własność XX. Czartoryskich z Woli Justowskiej. Nadbudowa drugiego piętra, nowa fasada i przebudowa wnętrz wedle projektów inż. Nitscha nadały budynkowi imponujący i artystyczny wygląd. Od Radziwiłłów nabył w roku 1886 gmach dzisiejszego Grandu Chronowski, który zainstalował w nim hotel, zapisując go w testamencie gminie m. Krakowa, a ta sprzedała budynek w czasie wielkiej wojny Aleksandrowi hr. Skrzyńskiemu, b. premjerowi i ministrowi spraw zagranicznych, po którym odziedziczyły go obecne właścicielki: Marja hr. Sobańska i Wanda hr. Zamoyska. Oto krótka historja gmachu, posiadającego najlepsze tradycje już w naszych czasach, kiedyto tuż po wojnie bolszewickiej przez trzy lata zrzędu urządzano tam najelegantsze reduty, słynące z udziału w nich elity województwa krakowskiego, wspaniałych ram zabawy i owego prawdziwie przedwojennego nastroju.

„Bal Maskowy" Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich przypomniał żywo owe reduty. Przez sale Grandu przewinął się korowód wytwornych tualet i pięknych kostjumów, wśród których wyróżniały się kompozycje reprezentantek Szkoły Przemysłu Art. i Sztuk Zdobniczych. Uczennice tej szkoły (wydział

Dokończenie na str. 18-tej.

Poniżej; P. Hanna Bielska, artystka teatru krakowskiego na „Balu Maskowym" S. D. K.



Walka z demonem

NOWELA

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

Olbrzymia sala koncertowa wypełniona była po brzegi. Zjawiło się całe najwytworniejsze towarzystwo kopenhaskie, reprezentanci korpusu dyplomatycznego, liczni krytycy i redaktorzy miejscowych i zagranicznych pism, a w jednej z lóż zobaczyć było można również słynnego pianistę Mussorgskiego, który, zaprzyjaźniony z Calrströmem, przyjechał z Paryża, by być na jego koncercie. Nawet loża królewska była tego dnia zapełniona kilkoma dygnitarzami dworu, którzy z zainteresowaniem dyskutowali na temat sensacyjnego koncertu.

Bo koncert Calströma w Kopenhadze naprawdę można było nazwać sensacją.

Po ośmiu latach, ciągłych triumfów, jakie odnosił na obu półkulach po niezliczonych koncertach, jakiemi uświetnił najsłynniejsze sale koncertowe w Wiedniu, Rzymie, Paryżu, Nowym Jorku, Chicago i Londynie, przyjechał wkońcu Carlström, jakby od niechcenia, jakby kierując się fantazją, dostępną tylko dla wielkiego artysty, do swego rodzinnego miasta, które lat temu dziesięć wypowiedziało się stanowczo przeciwko niemu. Nie zjawiał się wcześniej, bo chciał widocznie zebrać sporo laurów zagranicą, aby móc poszczycić się niemi w ojczyźnie. Od kilku też tygodni wszystkie pisma europejskie podawały sensacyjne a przeważnie zresztą nieścisłe szczegóły o przyszłym pobycie mistrza w Kopenhadze, wszystkie też ilustracje zamieszczały liczne reportaże, wywiady i artykuły o planach Carlströma. Zwłaszcza prasa duńska, na czele z recenzentami muzycznemi zajmowała się osobą wielkiego pianisty. Portret jego przedstawiający ciekawą, niezwykłą twarz, o dużem podobieństwie z Beethovenem, widniał we wszystkich kawiarniach, lokalach rozrywkowych, w uniwersytecie, ba! nawet w szkołach, gimnazjach. Calström stał się sławą narodową. Dawni jego przeciwnicy, którzy zarzucali mu w grze pewną oschłość, przy wielkiej technice, w kompozycji brak melodyjności i pewną ekstrawagancję, z którą trudno im było się zgodzić, umilkli, bijąc się z pokorą w piersi, skoro mieli tak dosadne dowody jego talentu, jak doktoraty h. c., nadane przez uniwersytety zagraniczne, jak ordery a nadewszystko ogólny entuzjazm, wybuchający na samo wspomnienie jego nazwiska. Chcąc też zatrzeć dawne urazy, chcąc wymazać z pamięci mistrza ostrą swą krytykę, prasa duńska prześcigała się w superlatywach, mówiąc o Carlströmie.

Gwar rozmów przycichł: światła nieco zciemniono, kurtyna się podniosła. Na scenie stał duży czarny Bechstein, czekający na swego pana. Po chwili ukazał się wysoki, barczysty mężczyzna, o zmierzwionej czuprynie, nieco siwiejącej, który, nie zwracając uwagi na spontaniczną owację, jaką mu urządziła publiczność, skierował się prosto do fortepianu. Usiadł na krześle, spojrzał nieco ponuro na salę, dał lekki znak ręką, aby mu nie przerywano i pozwolono grać.

Sala uciszyła się, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tysiące par oczu śledziło każdy ruch Carlströma.

W sali rozdźwięczała się jedna z sonat Griega, którego Carlström interpretował, jak nikt podobno na świecie. Z pod palców jego biegły tony, wyraźne, pełne wyrazu, tworząc równocześnie wspaniałą, pełną poezji i siły całość. Nad klawiaturą biegały ręce mistrza z taką łatwością, taką techniką, jakby gra była dla niego niepoważnem zadaniem, a rozrywką, którą uprawiał dla zabicia czasu. Potężna jego głowa, którą porównywano z głową Beethovena, odrzucona była wtył: oczy szukały czegoś w dali, błądziły po obłokach. Od czasu do czasu tylko wzrok jego przywierał do klawjatury, a cała jego postawa nabierała drapieżnego nieomal wyglądu.

Gdy wstał od fortepianu, jakby nieobecny myślą i obojętny na całe audytorjum, zerwała się burza oklasków.

— Podtrzymuję to, co pisałem o nim lat temu dziesięć: ten człowiek nie wyczuwa harmonji. Technika jest wspaniała, ale uderzenie pozostało twarde, bezduszne nieco. Jestem ciekaw jego nowych kompozycyj! Te, które znam, były nieudane — szeptał do ucha jeden z muzykologów kopenhaskich, Brink, swemu koledze i sąsiadowi.

— Co tu krytykować, panie kolego, skoro cały świat go uznał. Niech pan spojrzy na jego piękną żonę, jak dziękuje publiczności za uznanie dla swego męża. Ona bardziej jest tem wzruszona od niego! Piękna zresztą kobieta, niema co!

Pani Calrström otoczona w swej loży kilkoma panami i paniami z międzynarodowego towarzystwa artystycznego, odbierała wistocie hołdy w imieniu swego męża, który zdawał się nie zwracać uwagi na swe powodzenie.

— Czy nie jest pani szczęśliwa w tej chwili? — zapytał doktór Wangenheim, znany lekarz niemiecki, który towarzysząc jako zapalony meloman państwu Carlström, stale dotrzymywał towarzystwa pięknej pani Zuzannie.

— Jestem więcej jak szczęśliwa, — odparła żona Carlströma. — jestem upojona, owacją, szczęściem, że jestem jego żoną i że... pan jest przy mnie! — dodała nieco ciszej.

Wangenheim spojrzał na nią oczami pełnemi podziwu.

— Może być szczęśliwy, mając taką żonę!

Lecz pani Zuzanna, z zwykłą Francuzkom zmiennością, wkrótce przeszła na inny temat, tem więcej, że nie chciała, aby Wangenheim, nieco zbyt jawnie ukazujący jej swój podziw, miał dalszą sposobność do zwracania na siebie uwagi otoczenia.

Znów zapanowała cisza — Carlström miał wykonać swój własny utwór, nokturn, świeżo napisany i nie grany jeszcze nigdzie.

— Carlström nie ma w sobie ciepła! Te jego kompozycje są jakieś zagmatwane, niewyraźne, niema w nich linji! Robią wrażenie, jakby chciał słuchacza przekonać bogactwem tonów i techniką, nie mogąc tego uczynić kompozycją — znów odezwał się krytyk.

— I napisze pan to jutro w swem piśmie? — pytał kolega.

— Oczywiście! Zawsze piszę to, co myślę!

— Dziwny z pana krytyk! — zaśmiał się sąsiad.

— Bo widzi pan co innego fama, sława, pochwały publiczności, a co innego naprawdę wielka sztuka!

Po koncercie przewidziane było przyjęcie, urządzone przez królewskie towarzystwo muzyki na cześć gościa, ale Carlström, dowiedziawszy się o zaproszeniu, oświadczył, że jest zmęczony, niezbyt zdrów i chce mieć zupełny spokój. Zaproszenie zasadniczo przyjął, ale na inny dzień, datę miano jeszcze omówić. Wobec tej niespodziewanej odmowy, muzycy kopenhascy, a zwłaszcza dawni znajomi Carlströma, postanowili zaprosić muzyka z małżonką i ich przyjacielem, dr. Wangenheimem na kolację do rozrywkowej dzielnicy Kopenhagi „Tivoli", aby tam mogli swobodnie, zdala od oczu publiczności, pogawędzić o przeszłości, o sprawach muzycznych, o przyszłych planach Carlströma.

„Tivoli" — urocza dzielnica stolicy duńskiej, mająca niemniejsze bodaj tradycje wesołości i wszelkiego rodzaju rozrywek od paryskiego Montmartre, składa się z niezliczonych „etablissements" restauracyjnych, kawiarnianych, teatrzyków, kin, karuzeli, strzelnic itd., z których każde w innym kierunku zyskuje uwagę przechodnia.

Wieczór tego dnia był łagodny, wiosenny, uroczy. Klimat Kopenhagi i tak miły z powodu wpływu morza, czynił z północnej stolicy niezrównaną imitację jakiegoś południowego miasta pełnego werwy, wesołości, kwiatów, śmiechu i pięknych kobiet.

Kolacja zamówiona została dla całego towarzystwa w restauracji „Trianon", otoczonej pięknym ogrodem pełnym różanych krzewów. Menu zestawił jeden z kolegów Carlströma, znany smakosz Görda. Po koncercie, dwa piękne auta odwiozły w kierunku „Tivoli" Carlströma, jego żonę, Wangenheima, Gördę i jeszcze dwóch panów i dwie panie. Wszyscy poza samym Carlströmem byli w świetnych humorach: Görda, sypiący jak z rękawa anegdotami zabawiał całe towarzystwo. Wangenheim wpatrywał się jak w śnie somnambulicznym w piękną Carlströmową, pozostałe dwie panie w miarę możności flirtowały z panami, starając się rozweselić znanego muzyka.

Nie było to rzeczą łatwą.

Carlström przez całą drogę wyglądał oknem, nie interesując się bynajmniej rozmową swych towarzyszy. Zapytany przez żonę i obie panie, dlaczego tak źle się z nimi obchodzi, oświadczył, że jest bardzo zmęczony i prosi ich o wybaczenie, ale nie może brać w ich wesołej pogawędce udziału, tem więcej, że dręczy go pewien motyw muzyczny, który chciałby jaknajprędzej ująć w konkretną formę.

— Gdy sobie dam radę z moim motywem, będę się z wami śmiał i żartował! — obiecał wkońcu, całując małą rączkę swej żony. Tymczasem nie zwracajcie na mnie uwagi i bawcie się bez mego udziału. Od tego przecież jestem muzykiem, abym był trochę dziwakiem!

Pogodzono się z tym stanem rzeczy. Cześć i podziw, jaki ogół odczuwał dla Carlströma tam na sali koncertowej, ustąpiła teraz, w tem małem kółku przyjaciół miejsca innym uczuciom: noc była ciepła, piękna, z parków miejskich dochodziły zapachy kwiatów, auta jechały piękną, równą szosą, w wytwornej restauracji czekała na nich dobra kolacja, muzyka i dobre trunki... Czegóż można było więcej żądać? I czem miano się smucić?

Towarzystwo zasiadło przy dużym stole na werandzie restauracji, otoczonej francuskim ogrodem o pięknie utrzymanych, symetrycznych ścieżkach. Ogród majaczył tylko jaśniejszemi wstęgami ścieżek, wysypanych żwirem, natomiast sama weranda oświetlona była lampami w pięknych, łososiowego koloru abażurach. W sali, obok. przygrywała dyskretnie orkiestra. Na werandzie było jeszcze kilka stolików zajętych, większość jednak gości znajdowała się na sali.

Zanim jeszcze zdołano omówić szczegóły lukullusowej uczty, już dwóch panów z towarzystwa puściło się w tany w sali. Carlström nalegał, aby jego żona zatańczyła, ale Zuzanna oświadczyła, że zatańczy dopiero zjadłszy coś, gdyż koncert, wzruszenia i ten piękny wieczór dziwnie jakoś wpłynęły na apetyt, który wpierw musi zaspokoić. Görda opowiadał pani Zuzannie o tajemnicach kuchni francuskiej, Wangenheim dyskutował z jednym z obecnych o muzyce niemieckiej, a Carlström coś kreślił na papierze

Zuzanna chwaliła kuchnię kopenhaską twierdząc, że niewiele odbiega od kuchni francuskiej.

— Bo Francuzi i Duńczycy, proszę pani, to właściwie jeden i ten sam typ człowieka, tylko w dwóch wydaniach: bardziej południowem i bardziej północnem — perorował Górda, który jak zazwyczaj, pod wpływem alkoholu stawał się niezwykle rozmowny, dowcipny i chciał stale kierować konwersacją. Oba narody lubią życie, zabawy, kobiety, dobre jedzenie, dobre trunki i nie tylko, że je lubią, ale się na tem też znają i umieją je zestawiać! A Kopenhaga to Paryż północy, to chyba każdy mi przyzna.

Hasło „Kopenhaga to Paryż północy" wpłynęło bardzo ożywczo na całe towarzystwo, które przypomniało sobie niezliczone anegdoty, opowiadania i własne przeżycia, mające potwierdzać tę definicję. Większość tych anegdot była dosyć pikantna, co zresztą bynajmniej nie krępowało kobiet duńskich, wychowanych samodzielnie i dosyć swobodnie. Rozbawienie całego towarzystwa doszło do tego nasilenia, że nietylko nie zwracali już na Carlströma uwagi, ale bawili się świetnie bez jego udziału, wstając raz po raz od stołu, by przetańczyć jakiś nowoczesny foxtrot, tango czy starodawny walc wiedeński.

Muzyka zaczęła grać popularnego w danej chwili fox-trota „The skies golden stars". Wszystkie pary, za wyjątkiem Zuzanny i Wangenheima, wstały, by przetańczyć na sali.

— Ja się trochę przejdę — oświadczył Carlström, za chwilę wrócę — i wziąwszy kapelusz poszedł w stronę ogrodu.

Nie mógł dłużej już siedzieć z tymi ludźmi! Nie mógł dłużej grać przed nimi komedji, że jest zamyślony, czy zmęczony, w chwili, kiedy jedyna myśl, którą zaprzątała go, kręciła się koło objawów głuchoty, jakie zauważył, w wzmożonym stopniu, dziś podczas koncertu.

Nie wiedział, czy może zmęczenie podróżą, chociaż nie tak wielkie zasadniczo, czy może zmiana klimatu, czy jakieś inne, uboczne okoliczności, ale w każdym razie od czasu do czasu zjawiające się objawy głuchoty, — uważał je przynajmniej za takie, — wystąpiły dziś podczas koncertu z zdwojoną siłą. Gra była dla niego męką, było walką z groźnym demonem, który chciał go pogrążyć, zgnieść, odebrać mu wszystko. Carlström, jakkolwiek już nieraz myślał o możliwości straty słuchu, tym razem poczuł się w rękach furyj, które miotały nim jak burza na morzu łupiną okrętu. Nie wyczuwał słuchem niektórych uderzeń klawiszy, nie słyszał niektórych przejść zagranych pianissimo, uciekały zpod kontroli całe akordy, mięszając się z następnemi, tworząc chaos, który dezorjentował go, mimo, iż znał partyturę napamięć.

Oszalały przyzywał pomocy Boga i w dalszym ciągu, nie odrywając rąk od fortepianu, starał się sobie wmówić, że to tylko zmęczenie, nerwy i że wszystko będzie znów dobrze. Ale w pamięci stawały mu słowa wyrzeczone kiedyś, jakiś rok temu przez Wangenheima:

— Twój słuch jest zagrożony; choroba, którą przebyłeś może się na nim nie odbić, ale bardzo często pozostawia trwały, złowrogi ślad na słuchu. Radzę ci uważaj i lecz się.

Ale on, upojony swą pracą, swemi projektami, swą sławą, nie leczył się. Pamięta nawet chwilę dziecięcego zarozumialstwa: „Będę głuchy, jak Beethoven, — odezwał się kiedyś do żony, — wtedy będziesz mogła mi mówić najprzykrzejsze rzeczy, ale teraz oszczędź mnie", gdy wybuchła między niemi jakaś sprzeczka na dosyć błahy temat

Carlström błądził bez celu ścieżkami ogrodu. Niebo błyszczało gwiazdami, jakieś cienie-ludzie przewijały się między drzewami, wszystko zdawało się być pokojem, szczęściem, zadowoleniem. A on cierpiał, jak potępieniec...

„Wangenheim musi mnie ratować!".

„On tak jest do mnie przywiązany, taki mi życzliwy...".

A po chwili dodał: „Kocha się w mej żonie...".

Pierwszy raz przyszło mu to konkretnie na myśl, że młody lekarz niemiecki, jest zakochany w Zuzannie. Spostrzegł to dawno, może pół roku temu, ale nie przywiązywał do tego wagi. Teraz dopiero zrozumiał, że Wangenheim staje się rywalem. I ten rywal miał go ratować!

Czy to wiatr tak szumi? A może jakaś ukryta w pobliżu fontanna powodowała ten dziwny szum? Carlström włożył palce do uszu, a następnie wyjął je gwałtownie. Nie było różnicy: szum żył w jego uszach, nie poza niemi...

Nagle ogarnęła go tęsknota za ludzkiemi głosami, za tonami muzyki, za gwarem ludzkim. Chciał stwierdzić, że słyszy, że to wszystko są tylko przywidzenia...

Prędkiemi krokami podchodził do terasy, ale nie chciał znów znaleźć się wśród ludzi, chciał na uboczu, niewidziany, usiąść w cieniu i posłuchać ich głosów. Usiadł na jakiejś kamiennej ławce u stóp terasy. Nie

widzieli go, nie będą go wołali, będzie miał spokój.

Z hałasu i gwaru ludzkich głosów wkrótce wydzielał głosy swej żony, swych towarzyszy, Wangenheima. Co pewien czas głosy się zmieniały, widocznie wstawali i szli tańczyć. W pewnej chwili tylko dostrzegł dwa głosy: Zuzanny i młodego lekarza.

— ...Coby powiedział, gdyby to usłyszał? - mówiła Zuzanna.

— Słyszy coraz gorzej i za pół roku wogóle nic nie będzie słyszał... — odpowiadał drugi głos.

— Nie mów tak! — zaperzył się głos kobiecy. — To paskudna zdrada, popełniana na przyjacielu!

— Przeciwnie, jestem dla niego bardzo życzliwy! Sam mu proponowałem, że przeprowadzę kurację jego słuchu. A, nie chwaląc się, jestem znakomitością w tych sprawach. Ale on nie chciał... Lekkomyślny...

— Jakto, więc naprawdę mu coś grozi?— pytała Zuzanna.

— Bezwzględnie! — odpowiadał Wangenheim. — Kwestja roku, może więcej czy mniej.

Naraz usłyszał cichy szloch.

Serce w piersiach Carlströma zamarło. Wyobrażał sobie twarzyczkę Zuzanny zapłakaną z jego powodu, wyobrażał sobie jej piękne oczy za zasłoną łez wywołanych przez jego osobę. Wsłuchiwał się w ten szloch, jak w najpiękniejszą muzykę: pierwszy raz w czasie krótkiego pożycia małżeńskiego miał dowód niezbity jej miłości, pierwszy raz odkryła przed nim, niechcący, swe uczucia, które, on, uważał za zwykłą zalotność.

— Więc jednak mnie kocha! — przemknęło mu przez głowę. — Kocha! I płacze nad jego nieszczęściem. — Zrobiło mu się lżej na duszy. Żeby jeszcze usunąć tamtą rzecz, a wszystko będzie dobrze...

— Panie doktorze, — mówiła Zuzanna,— która naraz przeszła od bardziej poufałego i serdecznego, do nieomal oficjalnego i chłodnego tonu, — panie doktorze, niech pan się nim zajmie, a nie będzie ode mnie wdzięczniejszej osoby na świecie. Wszystkiego, co pan chce, będzie pan mógł ode mnie żądać...

— Zajmę się, choćby ten stary dziwak sam tego nie chciał! — głos doktora brzmiał pewny siebie, szczęśliwy.

„Więc jednak zamiana!". Carlström dławił w sobie złość, jaką wzbudziły ostatnie słowa Zuzanny i doktora. Nie wiedział, co o nich sądzić: nie widząc twarzy, tylko słysząc słowa, zmięszane z gwarem innych słów obcych ludzi, trudno mu było sądzić o sytuacji.

Wstał z ławki i począł wchodzić schodami na taras.

Stół jego znów zaroił się gośćmi, bo trzy pary powróciły z sali.

— Jest nasz wielki samotnik! — witano go wesoło.

— Siadajże, pogawędź z nami!

— Gdzie się ukrywałeś? — pytano.

— Chodziłem po ogrodzie i słuchałem słowika! — odparł szorstko.

— Ale przecież słowik wcale teraz nie śpiewa!

— Właśnie dlatego!

— Słuchaj, stary przyjacielu — odezwał się do Carlströma Wangenheim, chciałem z tobą pomówić o pewnej ważnej sprawie. Wstąp jutro do mnie, jeżeli chcesz, popołudniu. Sprawa zresztą dotyczy ciebie. Nie zapomnisz?

— Jeżeli będę mógł, wstąpię — Carlström robi ręką wymijający ruch, ale wie, że przyjdzie.

Carlström z roztargnieniem rozglądał się po ścianach gabinetu, w którym czekał na przyjście Wangenheima. Lekarz wykorzystał swój pobyt w Kopenhadze dla celów naukowych, to też porozumiał się z swym dawnym kolegą z Berlina, kierownikiem jednego z większych szpitali kopenhaskich i od dwóch dni pracował spokojnie w jego murach.

„Czego on właściwie chce, ten Wangenheim? Czy za cenę wyleczenia mnie chce kupić miłość mojej żony? Czy też jest może bezinteresowny!" — Machnął ręką.

„Ale Zuzanna? — dręczył się dalej. — Jak ona się na to zapatruje, czy przewiduje możność tej „wymiany"?

— Jak się masz, Carlström! — Dr Wangenheim wyciągnął serdecznie do niego rękę. — Dobrze, że przyszedłeś. Chodzi o ciebie. Nie będę krążył dookoła sprawy, tylko poprostu zajmę się nią odrazu.

Carlström nie odezwał się ani słowem. Obserwował Wangenheima, chcąc wyczytać w jego twarzy, w sposobie mówienia, w głosie, co właściwie leżało na dnie jego zainteresowania się zdrowiem muzyka: szczerość czy obłuda?

— Pamiętasz, jak rok temu mówiliśmy o twoim słuchu?

Carlström kiwnął głową.

— Pamiętam! Było to w Berlinie.

— Tak, w moim gabinecie berlińskim zbadałem ciebie dokładnie i postawiłem niestety smutną diagnozę. Byłem zdania, że za jaki rok lub nieco więcej zajdą komplikacje, które mogą ciebie pozbawić słuchu. Pamiętam, jaki byłeś wtedy zdenerwowany, jak wypytywałeś się mnie o ratunek. Tłumaczyłem ci jaknajdokładniej. Niestety niewiele to pomogło: zajęcia twe pochłonęły cię, zapomniałeś o całej sprawie tem więcej, że zdawało ci się, iż lepiej słyszysz. Z wami artystami to zawsze tak...

Nastała chwila przerwy w rozmowie.

— Teraz znów skarżysz się na twój słuch. Zauważyłem to po twoim wyrazie twarzy podczas koncertu i potem na przyjęciu w „Tivoli". Nie potrzebujesz mi mówić, ja jako lekarz i specjalista w dodatku w tym zakresie, wiem to lepiej. Ale chcę cię raz jeszcze dokładnie zbadać. Przejdźmy do gabinetu.

Badanie słuchu Carlströma odbywało się przy pomocy najbardziej nowoczesnych i precyzyjnych instrumentów. Wangenheim notował sobie jakieś spostrzeżenia na kartce papieru, by następnie znów przejść do nowej próby słuchu Carlströma.

Po pewnym czasie stanął przed muzykiem i rzekł:

— Badanie skończone! Wiem wszystko, znam twoje uszy i twą chorobę na wylot. Pomówimy teraz o środkach zaradczych.

Carlström ciągle jeszcze nie zdołał dojść do żadnego konkretnego wniosku co do postępowania przyjaciela. Zdawało mu się, że naprawdę wykazuje dużo życzliwości, że stara się mu pomóc, ale jeszcze ciągle pamiętał słowa zasłyszane wczoraj wieczorem koło tarasu, ciągle jeszcze zdawało mu się, że między żoną, może chcącą za wszelką cenę ratować męża, a Wangenheimem stanął tajny pakt, którego przedmiotem miała być jego osoba.

Nie mógł dłużej żyć w niepewności. Zapyta się go wprost! Zobaczy, czy lekarz zdradzi się!

— Mój kochany, jestem ci naprawdę wdzięczny za twoją opiekę i życzliwość. Nie wiem i to najbardziej mnie tu krępuje, jak ci się za to wywdzięczę.

— Niema mowy o wdzięczności. Wykonam mój obowiązek. Nic więcej. Gdyby role były przemienione, teżbym do ciebie przyszedł i uważałbym, że powinieneś się mną zająć.

— Tak, ale są między nami pewne sprawy i osoby, które mogą utrudniać mą wdzięczność. W życiu zwykle coś bierze się, lub otrzymuje za taką usługę, nie zawsze bywa to traktowane na płaszczyźnie jedynie przyjacielskiej...

— Rozumiem, Carlström, rozumiem! Chodzi ci o Zuzannę.

— Tak, o Zuzannę...

Wangenheim zdjął biały kitel laboratoryjny, który poprzednio miał na sobie, podszedł do biurka, wyjął z jego szuflady paczkę z papierosami, a zapaliwszy następnie jednego, przysunął do Carlströma duży, skórzany fotel, usiadł naprzeciwko niego.

— Mój kochany! — przez cztery lata byliśmy przyjaciółmi podczas twoich studjów muzycznych i nic nie tailiśmy sobie. Potem ty się ożeniłeś. Byłeś o Zuzannę zazdrosny, a ja widząc to, starałem się usuwać.

Carlström pochłaniał każde słowo Wangenheima, jak wyrok śmierci, który miał zdecydować o jego życiu.

— Potem nastał czas, kiedyśmy znów coraz częściej się widywali i zdawało się, że żona twoja nie będzie między nami przeszkodą utrzymania dawnej przyjaźni. Stało się jednak inaczej... z mojej winy. Nie będę ci taił tego: zakochałem się w niej bez pamięci. Zdawało mi się, że mam szanse zdobycia jej: była kokietką, ty pozostawiałeś ją całemi dniami samą, zajęty swą pracą. I przez pewien czas, było to rok temu, układałem sobie przyszły podział ról. Chciałem cię rozwieść z żoną, a w zamian za uczyniony ból i jako odszkodowanie...

— ...miałeś mnie wyleczyć z mej głuchoty! — wtrącił Carlström, który porównywał z tem, co słyszał, swe własne na tę sprawę poglądy.

— Tak, nie przeczę, przyznaję się nawet szczerze. Uważałem, że wyleczenie ciebie z tej choroby jest najlepszem dla ciebie odszkodowaniem, gdyż otwiera ci znów drogi do dalszych sukcesów, do dalszej pracy. Tak było rok temu. I tak, jak zwykły człowiek, nie znający ani wyroków losu, ani nie umiejący wyrzec się życiowych zdobyczy, planowałem sobie przyszłość. Zaszła jednak wkrótce potem rzecz zasadnicza: choroba, która ciebie może pozbawić słuchu, zaczęła zagrażać i mnie. Nie mogłem zbyt długo się łudzić: objawy były zbyt jasne, dobitne. Rozwijała się ona u mnie prędzej niż u ciebie. Stawałem się twoim towarzyszem cierpienia.

Carlströmowi zdawało się, że śni.

— Tak, ja dr Wangenheim byłem podobnie, jak ty u progu głuchoty! I od tej chwili zrozumiałem to, co chciałem zrobić: zrozumiałem, że przygotowywałem najpodlejszy czyn mego życia. Nie miej mi tego za złe: jesteśmy tylko ludźmi, egoistami, żyjącymi wedle przepisów, ale nie wedle sumienia. Nie byłem ani lepszy, ani gorszy od wielu innych. Ale nastąpiła we mnie przemiana: uczułem się, dopiero teraz, powołanym do uśmierzenia twych cierpień, podania ci przyjacielskiej dłoni, bez nagrody, bez osobistych celów. Toteż siedząc w sali podczas twego koncertu, obok Zuzanny, zdawałem sobie sprawę z tego, że żegnam się z nią na zawsze i że nigdy w życiu nie odżyją myśli, jakie miałem poprzednio. Nic jej ode mnie nie grozi, stary przyjacielu, nic! A ciebie uratujemy przed przekleństwem, które unosi się nad twem życie.

Carlström, który dotychczas nie wymówił ani jednego słowa, podszedł do Wangenheima.

— Wróciłeś mi spokój i szczęście! — rzekł obejmując go mocno i przyciskając do siebie. Spojrzał na niego wzruszony, a nie mogąc dobyć słowa z ściśniętego gardła, jeszcze raz ujął jego dłoń w swe ręce i długo ją w nich zatrzymał.

— Ale powiem ci jeszcze jedno — zaczął Wangenheim tonem, który miał brzmieć wesoło i miał pozbyć go silnego wzruszenia, które go opanowywało. Twoja żona jest ci najwierniejszą, najlepszą towarzyszką, pomimo swych może nieco lekkomyślnych pozorów i trzebaby nie wiem jakiego Casanowy, aby ją sprowadzić z drogi cnoty. A teraz, skorośmy to wszystko załatwili i niema już niejasności, umówimy się co do dnia, w którym zrobimy operację.

Gdy w dwa dni później w wielkiej sali koncertowej rozbrzmiewały tony utworów Carlströma, krytycy zauważyli ze zdziwieniem, że tym razem maestro grał lepiej, wspanialej, cieplej.

CORAZ WYŻEJ...





KULTURA ROLI
U RZYMIAN

Zapoznając się z pojęciami starożytnych Rzymian o uprawie roli, przekonujemy się, że choć 19 wieków dzieli nas od tych czasów, zapatrywania Rzymu na pewne zagadnienia rolnicze są bardzo zbliżone do dzisiejszych.

Potęga społeczeństwa rzymskiego opierała się na rolnictwie i od niego zależała. Wraz z rozkwitem rolnictwa rosło imperjum rzymskie, a upadek rolnictwa spowodował upadek Rzymu.

W okresie upadku państwa rzymskiego silnie rozwinęła się literatura rolnicza.

Zagadnienie rolnictwa rzymskiego poruszane przez autorów rzymskich — takich, jak: Katon, Cenzor, Warron, Wirgiljusz. Pliniusz Starszy itp. są dla nas tem więcej ważne ,że jesteśmy także krajem rolniczym i na rolnictwie opieramy nasz byt, a poza tem są one tak aktualne dla naszych czasów, że wierzyć się nie chce, by pochodziły



Na lewo:

Pług grecki, według starożytnego rysunku.



Poniżej:

W północnej Italji i Erytrei używano pługu z krojem nożowym.

z tak odległych czasów.

Dzisiejszy totalizm, jak i liberalizm gospodarczy (mimo różnicy zapatrywań na wiele rzeczy) uzgodniły punkt widzenia, że „dobrobyt w państwie rolniczem osiągnąć można przedewszystkiem przez podniesienie produkcji rolnej, a zatem osiągnięcie jak największej wydajności z 1 ha".

Cel osiągnąć można tylko przez umiejętne dobranie i współdziałanie środków dążących do niego.

Środkami mającymi na celu podniesienie wydajności z ha i zależnymi od nas, są: uprawa mechaniczna, zmianowanie, dobór nasion i nawożenie. Intensywna gospodarka (od której zależna jest w dużej mierze autarkja Niemiec) nie boi się czynić największych wkładów w narzędzia, maszyny, nasiona o najlepszej jakości, w nawozy i pracę rąk ludzkich, byle otrzymać wysoki ilościowo i jakościowo plon, gdyż tylko takiego towaru dziś żądają rynki i za taki płacą odpowiednie ceny.

Rzymianie zdawali sobie sprawę z doniosłości wymienionych czynników w uprawie ,roli i choć nie znali się na chemji rolnej, ani działaniu drobnoustrojów w glebie, to nawet my możemy się od nich nauczyć pewnych rzeczy

Czołowe miejsce wśród wszystkich zabiegów rolniczych zajmowały u rolników rzymskich orka i nawożenie. Rzymianie rozumowali, że lepiej jest mniej wysiać (t. j. na mniejszy obszar), a lepiej zorać. Obserwowali bowiem, że duże obszary ziemskie, które trudno jest dobrze doprawić, nie dawały polnu i dlatego „podobno duże włości zgubiły Italję i prowincję".

Orki wykonywane były precyzyjnie z uwzględnieniem warunków glebowych i atmosferycznych. Trzymano się kilku kardynalnych zasad. Jedna z nich, najważniejsza, brzmiała: „puszczaj pługi najpierw na ziemie najsuchsze, a na ostatku na najbardziej tłuste i mokre, byle przedtem nie stwardniały bardzo" (M. Porcius Cato Censorius).

Oto kilka dalszych przykazań obrazuje, jak ważną była ta czynność w życiu rolnika italskiego· „Ziemi błotnistej nie dotykaj się. Nim wogóle zaczniesz orać, przewróć pierwej ziemię — jeżeli przewrócisz darń, zginą korzenie zielska i chwastów". (To przewracanie, to przecież nic innego, jak nasza pokładanka (podorywka), do której tak trudno przyzwyczaić naszych małorolnych). „Orać należy z całej siły — pomiędzy dwiema bruzdami nie winny zostawać miejsca nietknięte, jak również nie powinny sterczeć bryły. Na roli dobrze zoranej nie powinno być śladów pługa".

Rzymianie używali do orki różnych rodzai pługów, zależnie od rodzaju gleby, którą miał orać. Pług z krajem nożowym używany w płn. Italji i Erytrei (gdzieindziej nie spotykany) służył do orania ziem cięższych. Wyglądem przypomina naszą sochę i zarazem pług — poza tem posiada dwukołowy przodek późniejszy. Istniał też pług fabryczny, wyrabiany przez specjalnych majstrów na zamówienie. Pług ten posiadał szerszą powierzchnię, żelazną i ostrzejszą.

Dalsze etapy uprawy, praktykowane przez Rzymian obejmowały włóczenie roli zaoranej plecionkami lub bronami.

O tem, że ziemię należy wzruszać w czasie wzrostu roślin (uprawa międzyrzędowa), dowiedzieli się Rzymianie w dość tragiczny sposób. W czasie wojny transpadańskiej wrogowie, chcąc wszystko zniszczyć — zaorali zboże rosnące, w przekonaniu, że spełnili ostatni akt zemsty. Tymczasem zboże obrodziło więcej jak każdego roku. Drugi wypadek: po bardzo ostrej zimie przemarznięte siewy pracowano i otrzymano obfite żniwa (my bronujemy siewy np. pszenicę do czarnej zemi). O innych zabiegach mechanicznych, jak wałowaniu (z wyjątkiem puszczania owiec i bydła, by deptały rolę), drapaczowaniu itp. nie czytamy u Rzymian, natomiast dowiadujemy się już o meljorowaniu gruntów zapomocą rowów i drenów.

Rowami odprowadzano nadmiar wilgoci. Ziemie gliniaste odwadniano rowami otwartemi, w ziemiach lżejszych stosowano system rowków zakrytych, z których woda przechodziła w rowy odkryte.

Rowy zakryte robiono w ten sposób, że naprzód wykopywano rów na 3 stopy głęboki, napełniano go grubym żwirem i kamieniami i do reszty zasypywano ziemią. Zamiast kamieniami wypełniano część głębokości pękami gałęzi, związanemi powrozami. Pęki te umieszczano tak, by zapełnić wszystkie próżnie. Na gałęzie kładziono warstwy liści cyprysu, sosny itp., a następnie ziemię, którą udeptywano mocno. Różnica między naszemi prymitywnemi rowami faszynowemi a rzymskiemi jest mała. Rurek drenowych Rzymianie nie znali.

Pierwsze miejsce wśród nawozów naturalnych u rolnika rzymskiego zajmował obornik, przyczem za najlepszy uważano nawóz z ptaszarni. Nawóz ludzki stawiano na drugiem miejscu, potem szedł owczy, a na końcu koński. Koński nawóz dlatego zajmował ostatnie miejsce, gdyż uważano, że zwierzę pociągowe wyczerpuje cały zasób pokarmów na wytworzenie energji do pracy, a zatem jego odchody są jałowe.

Nawóz ludzki, zwłaszcza płynny, chwalą sobie Rzymianie bardzo, radzą go przechowywać w zbiornikach przez 6 mies. i zmieszany z nieczystościami, wytłoczynami oliwkowemi wylewać pod winorośle i oliwki, z tem jednak zastrzeżeniem, że „gnojownicy" tej nie wolno rozlewać latem, tylko zimą, lub bardzo wczesną wiosną.

Silny akcent kładzie rolnictwo italskie na przechowywanie obornika. „Gnojowisko należy podzielić na 2 części. Do jednej zwozi się świeży nawóz, a z drugiej wywozi się stary już zmacerowany. Gnojowisko lepsze jest, jeśli boki i wierzch są chronione od słońca gałęziami i liśćmi. Nie trzeba pozwalać, by słońce wysuszało z nawozu sok".

Bardzo wielką wagę przywiązuje rolnik rzymski do kompostów. Sposób przyrządzania kompostów jest prawie identyczny z naszym obecnym. Tak jak i my, najprostszym sposobem zbierano na kupę liście, łęciny, śmiecie i odpadki podwórzowe, różne nieczystości oraz popiół. Gnojowisko takie starali się utrzymywać w stanie wilgotnym, by nasiona chwastów mogły zgnić i w lecie je przekopywali, ponieważ „łatwiej podlega rozkładowi". Kompost zalecali dawać pod zboża, rośliny jare i na łąki, uważając, że najbujniejsza na nim urośnie trawa". Należy go też roztrząsać po polu i zaraz przyorywać, oraz wywozić jednego dnia tylko tyle, ile da się w tym dniu przyorać. To samo odnosi się do obornika.

Każdemu, z nas, czytając te zalecenia, zdaje się, że czyta jakąś rozprawę rolniczą z ostatnich lat, napisaną przez powagę nauk rolniczych.

Z nawozów zielonych najbardziej cenionym i znanym był łubin. „Wszyscy się jednakże zgadzają, że nie ma lepszej mierzwy (nawozu) nad łodygi łubinu, podorawszy je przed zawiązaniem strąków". Przyorywali też Rzymianie łodygi bobu, wyki itp. Łubin i inne zielone nawozy według ich zdania wzmacniają ziemię, zwracając jej stracone siły. Dokładnie też odróżniali rolnicy, że na glebach lekkich należy łubin przyorać, gdy łubin ma 1 kwiat. Natomiast na glebach cięższych, gdy ma dwa lub 3 kwiaty.

Nawozy mineralne znane były tylko w starożytności w formie najprostszej, a więc: popiół i margiel.

Niejednokrotnie popiół przekładano nad mierzwę zwierząt roboczych. Znana też była w starożytności t. zw. próba ogniowa. Polegała ona na tem, że palono ścierniska i krzaki, a na popiołach uprawiano rośliny.

Nawożenie marglem przyswoiła sobie Italja od Galji i Brytanji, bardzo go sobie chwaląc. Margiel nazywano „sadłem ziemi" i nieraz z bardzo odległych okolic przywożono go. W użyciu było kilka gatunków

W miarę wzrostu imperjum rzymskiego w coraz większe bogactwo i potęgę, rolnicy zaczęli garnąć się do miast, gdzie łatwiej było żyć bez ciężkiej pracy. Zostawiali rolę na łaskę losu i kwitnące rolnictwo zostało tylko wspomnieniem...

Inż. Emilja Radzikowska.



Na lewo Kraje Afryki stanowią dla bocianów zimową wilegiaturę; wkrótce ulubieniec pięknej Marokanki wyleci na północ.

BOĆKI WRACAJĄ...

Gdy po ustępującej zimie nadejdą cieplejsze dni, rozpoczynają się wiosenne ciągi ptaków, które są zapowiedzią bliskiej już wiosny. Skrzydlata rzesza zaczyna nadciągać z dalekich, zamorskich krajów. Najwcześniej przylatują skowronki szare, niepozorne ptaki, których głos niby subtelny dzwonek ulatuje ku niebiosom, ciesząc serce rolnika, że wiosna już niedaleka. Wkrótce za niemi ciągną szpaki, czajki, lecą zięby, zwykle najpierwsze forpoczty, utworzone z samczyków, a później dopiero przybywają szczebiotliwe i miłe ich małżonki. Na św. Józefa a już najpóźniej na Zwiastowanie, jak mówi przysłowie, zlatuje się bocianie.

Piękne i okazałe te ptaki związane są ściśle z krajobrazem polskim. Wracają one na wiosnę do rodzinnej ziemi. Płyną majestatycznie w powietrzu, krążąc nad okolicą, w której mają zamiar się osiedlić. Szybują z rozpostartemi skrzydłami i wyciągniętemi wtył długiemi nogami. A wreszcie zlatują na ziemię. Niekiedy śmielsze z ptaków przybywają wcześniej, często jednak, gdy przyjdą jeszcze mrozy, giną nie tylko z zimna, ale przedewszystkiem z braku pożywienia.

Miejscem odlotu bocianów jest południowa Afryka. Lecą one tam, jak wykazały badania, dwiema drogami. Jedna z nich południowo-zachodnia prowadzi do celu z północnej, środkowej i południowej Europy przez Węgry, półwysep Bałkański i Azję Mniejszą, druga południowo-zachodnia przez Francję, Hiszpanję i północno-zachodnią Afrykę.

Stamtąd na wiosnę powracają miłe boćki. Przebyły one daleką i niebezpieczną podróż. Nie dbały jednak o niebezpieczeństwa i trudy związane z męczącą podróżą. Spieszyły, aby powrócić do tych stron, które opuściły na jesień.

A tu najczęściej oczekują ich przybycia z radością. Oto wieśniak, wierząc, że ptaki te wnoszą szczęście i spokój w jego dom, że chronią go przed klęską pożaru i gradobicia, przygotował na słomianej strzesze koło od wozu, aby zachęcić powracające ptaki do osiedlenia się tutaj i założenia swego gniazda, lub też umieścił je na pobliskiej topoli, aby ptaki znalazły się w jego sąsiedztwie.

Bociany są przywiązane do swego gniazda. Znają dobrze strony, w których zamieszkały i dlatego zdarza się, że te same bociany na rok następny powracają do tego samego gniazda, aby znowu założyć rodzinę, złożyć jaja i wychować potomstwo. Bardzo ciekawe obserwacje nad dziwną orjentacją w przestrzeni tych ptaków przeprowadzał niedawno prof. Kazimierz Wodzicki. Białe bociany pomalowane jaskrawo i opatrzone w pierścienie, dla późniejszego rozpoznania, przewożono aeroplanami z miejscowości Butyn pod Lwowem wiele kilometrów dalej. Z jednej strony wywożono je do Warszawy, a więc 300 kilometrów na północ, do Bukaresztu 660 kilometrów i wreszcie do Lyddy w Palestynie, dokąd odległość wynosiła już 2260 kilometrów na południe. Okazało się, że bociany wracały i lecąc niemal w prostej linji, przylatywały do swoich gniazd. Ilość bocianów, które powróciły, była znaczna. Wynosiła ona bowiem 75% tych,



Czarny bocian, czyli hajstra prowadzi bardziej odludny tryb życia, niż jego biały kolega.



W kole: Rzeki, stawy, a nawet mniejsze strugi dostarczają bocianowi ulubionych przysmaków.

które zostały przewiezione tak daleko, zarówno na północ jak i południe, dla przeprowadzenia eksperymentu. Badania te pozwoliły przekonać się o ich pamięci i orjentacji oraz o kierunkowym zmyśle.

U nas w Polsce żyją dwa gatunki bocianów, biały, pospolity jeszcze na ziemiach naszych oraz rzadki bocian czarny zwany hajstrą. Ten ostatni, jak sama nazwa wskazuje, różni się od swego bliskiego krewnego białego boćka, przedewszystkiem barwą. Upierzenie jego za wyjątkiem podbrzusza, jest ciemne a dziób i nogi czerwone. Jest on mniejszy i mało towarzyski. Na dużych odległościach, w lasach, żyją samotne pary tych ptaków.

Poza Polską żyją białe bociany również w większych ilościach w Niemczech; w Holandji i Danji osiedlają się te ptaki tylko bardzo rzadko. W Anglji zostały bociany zupełnie wytępione. Niedawno jednak przywieziono z kontynentu pewną ich lość, aby je powtórnie zaaklimatyzować.

Rozmieszczenie i występowanie bociana jest związane z charakterem terenów danej okolicy. Bociany osiedlają się chętnie tam, gdzie poziom wód gruntowych jest dostatecznie wysoki, gdzie występują mokre łąki i rozległe pastwiska, tam więc wszędzie, gdzie mogą poddostatkiem znaleźć pożywienie dla siebie, przedewszystkiem w postaci żab lub innych mieszkańców wilgotnych terenów. Stąd np. na Polesiu, gdzie było dotychczas wiele bocianów, liczba ich zmniejsza się na niektórych terenach z powodu przeprowadzonych meljoracyj i osuszania bagien. Unikają także miast i ośrodków przemysłowych.

Jakżeż malowniczym jest widok bociana na gnieździe, gdy stoi na niem, jakgdyby strażnik, rozglądając się wokoło i czuwając nad potomstwem. Można niekiedy obserwować bociany i to nawet z bliska, gdy spacerują po łąkach. Chód ich jest poważny i powolny, nieco sztywny. Godzinami brodzą po mokradłach lub też długo stoją na jednej tylko nodze. Często długo krążą w przestworzach wysoko, a lot ich jest piękny i lekki. Gdy upał dokucza, pod niebiosami rozkoszują się chłodnem powietrzem.

Gdy bociany przybędą na wiosnę, odrazu przystępują do poprawy dawnego gniazda. Niekiedy zdarzają się zacięte walki o miejsce, pomiędzy parą, która gniazdo już zajęła a tą, która dopiero nadleciała. Zwykle walczą samce, samiczki zaś śledzą przebieg walki. Znoszą one potem chrust i poprawiają gniazdo, wykończeniem zaś gniazda zajmuje się już sama tylko samiczka. Gdy ze złożonych jaj wylęgną się młode, narodziny ich zostają obwieszczone głośnym, radosnym klekotem, wywołanym uderzeniami silnego dzióba szczęśliwych rodziców.

Obydwoje rodzice wychowują swe potomstwo i przynoszą młodym pożywienie. Młode nie otrzymują pokarmu wprost do rozwartego dzioba, jak to się dzieje u innych ptaków, lecz ustawiają się w gnieździe głowami do środka i zbierają szybko pokarm, który rodzice między nie wyrzucą ze swych dziobów. Gdy upał młodym doskwiera, tak, że z gorąca otwierają szeroko dzioby i ciężko dyszą, rodzice przynoszą im wodę, wlewają ją do dziobów dzieci a nawet polewają im głowy i skrzydła. Prawdopodobnie stąd poszły opowiadania wieśniaków, że bocian w czasie pożaru przynosi wodę dla jego ugaszenia.

Gdy młode mają już dosyć silne skrzydła, rodzice podejmują z niemi próby lotu. Są to prawdziwe, systematyczne lekcje nauki latania. Początkowo wzloty są krótkie i wieczorem boćki wracają do gniazda razem z rodzicami. Później, gdy wyrosną, dla wszystkich już w gnieździe niema miejsca. I wtenczas młode bociany muszą nocować na pobliskich drzewach. Gdy uzyskają zupełną samodzielność, oddalają się od swych rodziców, aby połączyć się zarówno z niemi, jak i z innemi rodzinami boćków dopiero z końcem sierpnia, gdy nastąpi chwila odlotu.

Dr. Z. M.



Powyżej: Studentki College'u przed wyjazdem na zawody sersowe.



Powyżej: Rozpakowywanie skrzynki przesłanej z domu, stanowi dla niejednej studentki milszą rozrywkę jak ślęczenie nad książkami.



Trzy starsze studentki w swoich malowniczych strojach, które wolno im nosić tylko podczas ostatniego semestru, — udają się na spacer do ogrodu.

Mówi się i pisze wiele o demokratyczności Ameryki — ale jeżeli przyjrzymy się i zbadamy dokładnie, na czem ta demokratyczność polega, to dojdziemy do przekonania, że jest ona typowo amerykańskim — bluffem. Bo tak, jak niema tam zrównania gmachów, dzielących się na gigantyczne drapacze chmur i niskie, stare rudery, jak niema zrównania miast, z których jedne stanowią fantastycznie olbrzymie zbiorowisko ludzi, drugie zaś są pustemi ugrupowaniami domów na pokaz, tak i skala podziału społecznego posiada olbrzymią rozpiętość. A na samiutkim, najwyższym szczycie amerykańskiej drabiny społecznej, na Olimpie pojęć, ekskluzywności i zbytku — znajduje się grupa miljonerów, przeważnie ze sobą spokrewnionych, oddzielona od tłumu murem towarzyskiej przegrody i snobizmu. Droga do tych szczytów stroma i niedostępna. Ekskluzywność właściwych władców Stanów Zjednoczonych równa się co najmniej niedostępności hinduskich maharadżów. Ci wybrańcy fortuny przekazują swoją dumę rodową dziedzicznie z pokolenia w pokolenie, pysząc się, że są potomkami pierwszych osadników w Bostonie.

O 15 mil od Bostonu, gdzie głównie skupia się amerykańska arystokracja, znajduje się najsłynniejszy i najbardziej ekskluzywny uniwersytet kobiecy, głośne na całe Stany Wellesley College, w którem kształcą się córki najpotężniejszych, najsławniejszych rodzin amerykańskich. Jest to niejako państwo w państwie, kompleks gmachów o prawdziwie amerykańskich rozmiarach

Na prawo: Ogólny widok „Wellesley College'u" [...] auta[...]ch po[...]mi, kt[...]e jest siad[...]ilejem prz[...]ych studentek.



Na prawo: Badanie wyników łuczzawodów łuczniczych emocjonuje studentki w równej mierze jak przyszły egzamin przed gronem profesorskiem.



„Wellesley College"



rego „obywatelki" krążą po wspaniałych salach, po parkach i placach sportowych, ubrane w biel w lecie i w zimie. Początki Wellesley College są istotnie romantyczne. W XVIII stuleciu zakupił adwokat z Bostonu, Henry Fowle Durant, 300 morgów gruntu, aby swojemu jedynemu, ukochanemu synowi zapewnić w przyszłości majątek. Dziecko zmarło jednak wśród tragicznych okoliczności, podobno z winy matki, a zrozpaczony ojciec zapisał posiadłość szkole żeńskiej pod tym warunkiem, że będzie kształciła młode kobiety na dzielne żony i matki.

Do r. 1875 zamieniono ów instytut wychowawczy na uniwersytet, gdyż władze pedagogiczne uznały, że warunki zmieniły się na tyle, aby dać kobietom prawdziwie męskie wykształcenie. 300 pierwszych studentek przekroczyło wówczas nowo wybudowane gmachy. Wywodziły się one z najelegantszych, najbogatszych rodzin i umiały reprezentować swe nazwiska, wykazując w domu i w pracy zawodowej, że Wellesley College sprostało swojemu zadaniu. A dzisiaj zaludnia gmachy ponad 2.000 dziewcząt. Uniwersytet ma wygląd małego miasta z własnym teatrem, najrozmaitszemi gmachami naukowemi i mieszkalnemi, z własnym wspaniałym kościołem. Lecz za te wygody i przyjemności trzeba płacić! Sam pobyt na uniwersytecie w Wellesley College, odliczając należytości za naukę, kosztuje 3.000 dolarów rocznie.

Program nauk jest identyczny z programem na uniwersytetach męskich. Studentki mają własną administrację, własne ubrania jednolitego typu, a nawet własny sąd! Młode, przeważnie piękne dziewczęta — rasowe Amerykanki — czują się tam jak u siebie w domu. A po wyjściu z Wellesley College długo jeszcze tęsknią za swą uczelnią.

Scott.



Na lewo: Fragment budynku „Wellesley College'u" i otaczającego ogrodu.



Poranne nabożeństwo w kaplicy College'u rozpoczyna pracowity dzień.

Dokończenie ze str. 9-ej.
tekstylny) wykonały wysoce artystyczne kotyljony, z których jeden widzimy na str. 8-ej.

Niesposób na tem miejscu wyliczyć wszystkich tualet, które narówni z kostjumami stanowiły prawdziwą ozdobę balu. Oto niektóre z nich i ich urocze właścicielki: czarna koronkowa p. L. Szczepańskiej, czarna ze srebrną lamą p. dr Gręplowskiej, biała z crêpe fosfor p. G. Finderowej, którą obrano wicekrólową balu, złota lama p. dr Krillowej, szmaragdowa crêpe satin p. J. Balickiej, fioletowa tafta p. Zofji Daniłłowicz, niebieska crêpe romain p. J. Damskiej, biała crêpe satin p. Izabeli Raczyńskiej, czarna sortie z różowej lamy p. dyr. Hardtowej, złota lama p. Ewy Leowej, niebieska taftowa, przybrana białymi lisami p. Porębskiej, czarna crêpe transparent p. H. Balickiej, czarna tiulowa p. Z. Patrońskiej, fioletowa satin p. Ruszkowskiej, biała crêpe satin z sortie z różowego aksamitu p. Zofji Leo, niebieska tafta p. kpt. Chrzanowskiej, velour gris perle transparent p. Elżbiety Dankiewicz, czarno-złota brokatowa p. sekr. Małeckiej, czarna crêpe romain p. H. Friedrichowej, czarna velour chiffon p. Teresy Suchecikiej, czarna pailletowa p. F. de Rattazzy, żółta z irysami p. Marji Popławskiej, czarna p. Marji Wojciechowskiej, czarna z narzutą koronkową p. J. Wernicz, czarna koronkowa p. por. Chwałowej, czarna tiulowa p. W. Wodzinowskiej, czarna ze złotą koronką p. Olgi Waiglówny, niebieska p. kpt. Metelskiej, czarna taftowa p. S. Popielowej, bois de rose gazowa z złotemi aplikacjami p. A. Kwiatkowskiej, różowa brokatowa p. Jarosławy Wasung i wiele wiele innych.

Zabawa maskowa w Grand-Hotelu jako wyjątkowo udana impreza minionego okresu balowego stanie się niewątpliwie wzorem dla tych, którzy w przyszłym sezonie zechcą kontynuować walkę o przywrócenie tronowi Księcia Karnawału dawnej świetności.

Juliusz Leo

CHAPEAU BAS!

Jest rzeczą wysoce charakterystyczną dla człowieka, w jaki sposób się kłania i czy umie stosować różne odcienie ukłonu, jakie bezwzględnie istnieją. Dzisiaj te wszystkie możliwości są dla większości ludzi rzeczami nieznanemi i niezrozumiałemi, gdyż wogóle, tak samo jak inne dziedziny obyczajów, uproszczono do minimum ukłon i zrównano go, pozbawiając wszelkiej indywidualności i osobistych akcentów.

Nie zawsze jednak tak było. Jeszcze dzisiaj żyje pewna ilość dyplomatów i mężów stanu starszej generacji, którzy licząc się z każdym swym krokiem, mogącym mieć poważne skutki, przyzwyczajeni do „dozowania" zarówno słów, jak i ruchów, umieją również ukłonowi nadać żądane znaczenie i formę. Jest to pewnego rodzaju sztuka, za którą kryje się duże wyrobienie psychologiczne, a przedewszystkiem poczucie życiowych „préséances". Jest to też pozostałością tych czasów, kiedy ukłon składano w sposób może w naszem dzisiejszem pojęciu przesadny, ale niemniej piękny, szarmancki i pełen jakiegoś błyskotliwego uroku. Wtedy też, np. w XVII wieku, nadawały się do takiego zamaszystego ukłonu olbrzymie kapelusze, zwane u nas szwedzkimi, ozdobione bogato piórami.

Jest dziwną rzeczą, że o ile obyczaje w przeszłości były bez wątpienia bardziej nieraz rażące, niż dziś, posiadały swoje chropowate, nieprzyjemne, a nieraz rubaszne cechy, to z drugiej strony uprzejmość wyrażała się w sposób daleko wyszukańszy i wytworniejszy niż dzisiaj. Może była to przesada, nagradzająca tamte ciemne strony obyczajów współczesnych, a może jakaś poprostu przesadna moda, na którą złożyły się liczne momenty, nie dające się tak łatwo wyjaśnić. W każdym razie musimy o tem pamiętać, że ludzie przeszłości daleko większy kładli nacisk na podkreślenie swej ważności osobistej, swej godności, swego honoru, pojmowanego zresztą, jak wiele rzeczy nieraz dziwacznie, a nawet opacznie. To też moment psychologiczny był napewno punktem wyjścia dla uroczystości ukłonu. Jako sprawdzian naszej teorji może posłużyć okoliczność, że narody anglosaskie, załatwiające porachunki honorowe w sposób nad wyraz prosty i.. mechaniczny, nieraz zapomocą boksu, nie przywiązują do ukłonu zbyt wielkiej wagi, co, jeżeli chodzi o Amerykę, możemy zauważyć choćby w filmach współczesnych. Każdego Europejczyka rażą dziwne formy przyjęte w świecie amerykańskim niezdejmowania prawie kapelusza z głowy przy ukłonie i zastępowania tradycyjnego ruchu ręki, zdejmującej tenże kapelusz, mruknięciem jakiegoś zdawkowego „how are you" — czy też jakiegoś „hello, boy", czy czegoś podobnego. W naszych oczach takie zachowanie jest zwykłem prostactwem, którego żadnemi względami nie można wytłumaczyć.

Poniżej: Ukłon prezydenta Roosewelta oddany anonimowej publiczności jest tak serdeczny, jakby się odnosił do starych przyjaciół.



Mówiliśmy o tem, że sztuka kłaniania się dostępną jest niewielu osobom, a stosuje ją mała ilość ludzi starszej daty i starszego psychologicznego „stempla". Zmilitaryzowana i zschematyzowana Europa wprowadziła od wielu lat nowe ukłony, świadczące o przynależności partyjnej kłaniającego się. Mamy więc ukłon faszystowski, ukłon hitlerowski i pozdrowienie Frontu Ludowego. Oczywiście, że nie stosuje się ich w życiu prywatnem, a raczej przy publicznych wystąpieniach, ale ukłony tego rodzaju przenikają mimo wszystko do obyczajów codziennych i prywatnych.

Wszystko można oczywiście klasyfikować w różne grupy i kategorje, nie zawsze jednak objawy życiowe dadzą się ująć w takie konkretne ramy. Gdybyśmy chcieli zastosować klasyfikację odnośnie ukłonu, to może dałoby się wyodrębnić zaledwie kilka jego typów, tak bardzo jeden ukłon przechodzi w drugi, tak bardzo też odcienie jego są nieuchwytne. Mimo to jednak jakżeż daleko odbiega ukłon wesołka paryskiego, Maurycego Chevalier, od ukłonu dyplomaty typu naprzykład ministra von Papena! Tu bezceremonjalny, „gaminowski" okrzyk w postaci ukłonu, tam wymierzone oddanie honorów



W kole: Prezydent Lebrun oddaje hołd grobom poległych żołnierzy w Mars la Tour.

symbolicznem uniesieniem kapelusza. Podobno mistrzem w kłanianiu się był Edward VII, który pomimo całej swojej uprzejmości, posuwającej się nieraz do poufałości, umiał nawet w ukło-nie zachować dystans między sobą a resztą świata. Tę samą zresztą precyzyjną, jakby mechaniczną uprzejmość, liczącą się z stopniem hierarchicznym danej osoby, wykazywał Franciszek Józef, który zresztą nie miał sposobności kłaniania się cywilnym kapeluszem, skoro prawie nigdy nie wychodził z munduru. Ukłon Mussoliniego jest spontaniczny, pełen zapału i werwy, ukłon Hitlera spokojny, odmierzony, jakby zastygły w swojej powadze. Książę Windsoru kłania się uprzejmie, ale bez entuzjazmu, widocznie zbyt wiele razy musiał dokonywać tego rytualnego obrzędu grzecznościowego. Angielscy mężowie stanu kłaniają



Na prawo: Ukłon paryskiego „gamin": Maurycy Chevalier wraz z żoną wita zebrane tłumy na dworcu londyńskim.



Powyżej: „A tout seigneur tout honneur" — zdaje się mówić ukłon księcia Kentu, udającego się do Opactwa Westminsterskiego z okazji ślubu lorda Herberta.





O[illegible] Król Alfons XIII oddaje obojętny, protokólarny ukłon, opuszczając dworzec madrycki w towarzystwie królowej Marji rumuńskiej. — Uprzejmie, ale bez entuzjazmu kłania się król Edward VIII podczas swego pobytu w Wiedniu.

Poniżej: Roztargniony, stereotypowy ukłon męża stanu: minister von Papen udaje się do gmachu parlamentu niemieckiego.



się zazwyczaj bardzo naturalnie, bez akcentowania swojego wysokiego stanowiska i niemal bez różnicy, czy ukłon należy się policjantowi na ulicy, czy też koledze z Izby Parów. Jeżeli chodzi o prezydentów republiki francuskiej, to ukłony ich są bardzo „wymierzone". Wyjątek stanowią oczywiście ukłony, oddawane w pewnych okolicznościach, jak widzimy to na zdjęciu, na którem prezydent Lebrun odaje swym ukłonem cześć poległym na jednym z cmentarzy francuskich. Ukłon ten naprawdę coś mówi i podyktowany jest głębszem uczuciem. Prawdziwie demokratyczny, a przytem serdeczny jest ukłon prezydenta Stanów Zjednoczonych Roosevelta, który zyskuje sobie sympatje właśnie dzięki tej bezpośredniości swego postępowania.

A któż z naszych mężów stanu może nas w tej dziedzinie zainteresować? Nasuwałaby się oczywiście przedewszystkiem postać Marszałka Piłsudskiego, którego jednak pamiętamy jedynie w mundurze. Ukłon jego, wojskowy, nacechowany był dobrotliwością. Najwięcej chyba miałby w tej dziedzinie do powiedzenia minister Beck, który z racji swego stanowiska odbywa tak często podróże po Europie. Ukłon jego jest zawsze serdeczny, jakkolwiek nie wylewny, dyplomatyczny. Ciekawą sylwetkę posiada dyrektor Protokołu Dyplomatycznego MSZ-tu Karol hr. Romer, którego widzimy zawsze przy oficjalnych przyjęciach. Jako „wcielenie" przepisów protokołu i najlepszy ich znawca, minister Romer mógłby napewno udzielić w tym względzie miarodajnych wskazówek: swym przykładem daje on najlepsze wyobrażenie o ukłonie dyplomaty.

Trudno sądzić o przyszłości tego objawu życia towarzyskiego, jakim jest ukłon, ale może niedalekie są czasy, kiedy człowiek zdejmujący kapelusz, będzie anachronizmem! A może też znowu, z drugiej strony, modne się staną przesadne rewerencje, składane ekstrawaganckiemi kapeluszami, jak to miało miejsce 200 czy 300 lat temu? Reakcje obyczajowe, chociaż idące po pewnej logicznej linji, są jednak trudne do przewidzenia, to też stanowią przeważnie dla ludzi niespodziankę.

Nie należy zapominać, że rodzaj ukłonu uzależniony jest od nakrycia głowy, to też zależnie od niego zmienia się, tworząc z kapeluszem logiczną całość. A jakie kapelusze będziemy nosić w przyszłości, o tem zadecyduje moda.

Jan Malczewski.

SŁOŃCE NA ŚNIEGU

WILCZYSKA-CHRUŚCICKI — **NOWELA**

Wiało nad Morskiem Okiem. Dzień się kończył. Wicher wzmagał się. Zwiewał z nad Czarnego Stawu srebrny, chłodny pył i rzucał go wdół — zasypywał nim schronisko przy Morskiem Oku, nosił się nad zamarzniętym stawem, aż uczepił się jadącej na nartach dziewczyny i razem z nią nawrócił ku schronisku. Jechała szybko i co chwilę odrzucała z nad oczu chmurę niesfornych, spadających na czoło, ośnieżonych włosów, ocierała zmarzniętą, ładną twarz olodzonemi rękawicami — odpoczywała chwilę — aż znowu, zwiększając szybkość, zdążała ku schronisku. Dojechała wreszcie — pochyliła się znagła, zerwała uprząż, zgarnęła deski pod rękę, rozwarła drzwi naoścież i próbowała wejść do sali. Nie szło jej jakoś. Przekrzywione deski oparły się w drzwiach, zaczęła je zgarniać niespokojnie. Z za niej wpadł do wnętrza pył i ziąb z otwartych drzwi, że siedzący przy stole mężczyzna odwrócił się zdziwiony.

— Mógłbyś mi pomóc — powiedziała ku niemu.

— Gdzieś była?

Nie odpowiedziała. Wstał, do drzwi podszedł, zabrał jej narty z rąk, a gdy zamknęła drzwi, oparł je o ścianę.

— Zimno ci?

— A jak — złapało mnie aż tam — wskazała za okno.

— Odpocznij. Każę ci podać herbatę — powiedział.

Otrzepała się ze śniegu. Gdy wrócił, usiedli przy stole.

— Byłem niespokojny o ciebie — rzekł.

— Jak zwykle. Za wiele się mną zajmujesz — powiedziała niecierpliwie.

— Krępuje cię to? — zapytał po chwili.

— Tak. Ciekawam dlaczego mam ci mówić, gdzie idę, co robię, z kim jestem — sądzę, że wolno mi robić, co chcę i jak chcę!

— Jadźka!

— Nie lubię cię za to! — powiedziała znagła.

Przycichli. Dyszał ciężko. Wsparł głowę na dłoniach i odpoczywał. Wstała od stołu i podeszła do okna. Patrzył za nią. Skinęła — i gdy podszedł ku niej, wskazała za okno.

— Przycichło już — powiedziała.

Za oknem było cicho i błękitnie. Cień uczepił się wysoko nad zamarzniętym stawem i podchodził coraz wyżej. Gdzieś wbok od Mnicha paliło się światło. Gasło już.

— Jutro wybieram się na Mięguszowiecką przełęcz — powiedziała znowu.

— Pójdę z tobą.

— Umówiłam się już —

Dojrzała, że przygasł blask w jego oczach.

— Idę ze Staszkiem — rzekła cicho.

Nie odpowiedział. Odwrócił się bez słowa od okna, zaszedł do stołu, usiadł przy nim. Znowu otworzyły się drzwi i do sali weszło ośnieżone i roześmiane towarzystwo. Podano herbatę. Jadźka podeszła ku niemu. Nie patrzyli na siebie. Dziwiła się, że wystukiwał palcami na stole jakąś niespokojną melodję. Położyła rękę na jego dłoni.

— Daj spokój — Kaź — powiedziała ciepło.

Próbował się uśmiechnąć. Nie potrafił jednak. Zwarł gorąco jej dłoń w swojej ręce.

— Mojaś ty — szepnął.

Wstała.

— Idę już — chcę się obudzić o świcie.

— Nie zostaniesz na wieczór?

— Nie. Spać chcę. I zimno mi jakoś. Dobranoc ci.

Miał odpowiedzieć, może prosić o coś, ale przycichł. Patrzył tępo, jak odchodziła. Uśmiechnęła się jeszcze do niego w drzwiach. Wstrząsnął się cały. Wydało mu się, że zabolało go coś — tak okropnie. Wstał i podszedł do siebie. W pokoju, kolega jego, Staszek, gwiżdżąc, smarował narty.

— Cicho byś był! — rzucił ku niemu od drzwi.

Tamten ucichł. Może się zdziwił — bo odrzucił głowę wtył i starał się czegoś w nim dopatrzyć. Skończył — więc deski ustawił pod ścianą i zabrał się do ładowania plecaka. Kazek chodził po pokoju niespokojnie.

— Że sobie miejsca znaleźć nie możesz, tylko chodzisz wciąż tam i zpowrotem? — zapytał Staszek.

Kazek nie odpowiedział.

— Idziesz na Mięguszowiecką? — rzucił.

— Tak.

— Sam?

— Wiesz, że nie.

Było tak cicho. Kazek począł się rozbierać.

— Wybierasz się po świeżym śniegu — na odwilż?

— To co?

— Niebezpiecznie.

— Może i tak.

— To nie idź — jutro — prosił.

Staszek spojrzał ku niemu. Podszedł i usiadł przy nim na krawędzi łóżka.

— Widzisz — mówił — wiem, że o Jadźkę ci dzie. I wiem także, że nie stanie się nic. Nie chcesz tylko, by szła ze mną. To wszystko.

Chciał zaprzeczyć.

— Wydaje ci się, że tobie ją wolno tylko lubieć. Masz w sobie coś, jakiś straszliwy, nieliczący się z niczem egoizm, z niezrozumiałych powodów pielęgnujesz go w sobie — dla niego poświęcisz wszystko. Jak poświęciłeś naszą przyjaźń.

— Skąd wiesz, że tak? — rzucił.

— Wiem, że mnie już nienawidzisz.

Przycichli znowu. Kazek wstał — zaszedł do okna i patrzył w ciemność. Wysoko, błękitnej głębi uczepiły się gwiazdy. Drżały.

— Nienawidzę cię, psiakrew, jak ja cię nienawidzę! — wybuchnął.

Za ścianą gwar przycichł. Ktoś grał na skrzypcach. Za oknem była noc gwiaździsta i pogodna...

Kiedy się zeszli rano przed drzwiami, gotowi do drogi, słońce już było na stawie. Roześmiani i szczęśliwi rzucali naokół pozdrowienia wybierającym się na śnieg czasowym mieszkańcom schroniska. Dzień był słoneczny i ciepły. Ale nie wróżył nic dobrego. Wysoko, na Rysach, wiało i od Mięguszowieckiego szedł dech niepokojący. Nie przejmowali się tem.

— Spóźniliśmy się — słońce wysoko — rzuciła.

— To nic — mamy czas — powiedział.

Zabierali się. Lepił się śnieg — więc wytarła deski, spadli na jezioro, przecięli go nawskos i rozpoczęli ciężki podchód pod Czarny Staw. Tu śnieg był dobry. Pięli się coraz wyżej na nartach i bez. — Jak było trzeba i jak chcieli. Pod nimi, na jeziorze, ułożyły się długie, białe wstęgi narciarskich ścieżek i grały załamaniem słonecznego światła. Po zboczach włóczyli się narciarze, czepiali się śnieżnych ścian — spadali wdół, albo podchodzili, znacząc za każdym razem nowy, biały ślad. Odpoczęli. Uśmiechnęła się.

— Cudnie tu — powiedziała.

Zajrzał jej w oczy. Paliły się słonecznym blaskiem ruchliwe i niespokojne. — Aż się zdziwił.

— Wiesz — mówiła — wydaje mi się, że tylko pod nami jest cicho — tak okropnie cicho...

Zasłuchali się.

— A zdaje mi się, że nad nami coś gra. Szumi coś, huczy jakąś potężną melodję — o, stamtąd, od Rysów. Zdaje mi się, że idzie ponad nami poszum, granie jakieś — że przestrzeń nad nami drży i dzwoni. Że dzwoni słońce...

Znowu poczęli się pchać coraz wyżej, przełamali się na progu Czarnego Stawu i zatrzymali się na dłużej. Odpoczywali. Na Rysach sypał się srebrny pył. Rzeczywiście tłoczył się ponad nimi poszum jakiś — wzmagał się nad Czarnym Stawem, włóczył się po zamarzniętej powierzchni, dochodził do przepaści i walił się ku Morskiemu z językiem przeciągłym, staczał się po ścianach wdół — aż na dnie przycichał, kotłował się jeszcze chwilę, jakby się męczył i gasł na powierzchni zamarzniętego jeziora. Południe przeszło, gdy ruszyli znów od Czarnego Stawu. Zachodzili bokiem, kierując się na Kazalnicę ku przełęczy.

— Jadźka!

Odwróciła się ku niemu. Znowu odrzuciła włosy z nad oczu, że przesypały się w słońcu jak złoty piasek palący.

— Może nie pójdziemy aż tam — bo Wielki dymi, a i późno będzie wracać — powiedział.

— Zdążymy jeszcze. Tylko chodź. Co tam. Na deskach spadniemy w krótkim czasie. Żeby się tylko przed zmierzchem do Czarnego dostać, potem to można i po ciemku doskoczyć — zobaczysz.

— Nie będziesz się bała na półkę wleźć?

— A co, nie byłam już tam?

— W lecie. Ale teraz śnieg.

— E, chodź, to zobaczysz.

Pchali się pod górę. Na Rysy spadła mgła. Zerwał się wiatr. Dyszał już i po żlebach strącał świeży śnieg.

— Wieje od Rysów — rzuciła.

— Wracajmy.

— Nie — powiedziała twardo.

Rzuciło na nich srebrnym pyłem. I znowu. Wiatr potężniał. Podchodził dołem, czepiał się ich i starał wytrącić z obranego kierunku. Aż odwrócił się jeszcze i wiał z tyłu.

— Pomoże nam.

— Co? — nie dosłyszał w szumie.

— Mówię, że nam pomoże się pchać — zawołała ku niemu.

Skinął tylko głową. Zciemniało się.

— Wracajmy! — krzyknął.

Nie odpowiedziała. Szła przodem. Nie mógł jej dopaść. Rozpadał się śnieg. Tańczył z wiatrem, rzucał się im na twarz, oślepiał. Dopadli Kazalnicy — schronili się pod głazem. Śnieg przechodził.

— Idziemy dalej — zawołała.

Pięli się wytrwale. Nie — śnieg nie ustawał. Rozpadał się na dobre. Zciemniło się jeszcze. Dopadli półki. Zerwała deski i czekała, aż dojdzie.

— Przechodzę pierwsza! — krzyknęła ku niemu.

— Czekaj!

Poszła. Gdy odpiął narty — pochyliła się i poczęła ostrożnie przechodzić po wąskiej krawędzi. Opierała sę na rękach. Drżał o nią. Wiało okropnie. Widział jak opierała się wichrowi. Szedł za nią. Dochodziła do końca. Już — nie, krzyknęła znagła. Rzucił się ku niej, chwycił, obsuwającą się wpół i przerzucił na koniec krawędzi. Potknął się — i poczuł w nodze nagły, okropny ból. Osunął się na śnieg.

— Staszek! co ci?

Pochyliła się nad nim.

Dokończenie na str. 33-ej

Dokończenie ze str. 20-tej.

— Nie wiem — zdaje się, że skręciłem nogę — powiedział cicho.

Przeraziła się. Próbował wstać. Nie mógł.

— Będziesz mógł zejść — zapytała.

— Nie wiem... ja nie wiem...

— Bardzo cię boli?

Nie odpowiedział. Dojrzała pot na jego czole. Nie wiedziała, co czynić.

— Jadźka.

Pochyliła się nad nim.

— Nie będziesz się bała wracać — sama — zapytał.

— Jakże —?

— Zostanę tu — musisz przejść półkę, tylko ostrożnie, zabierz deski i zsuń się do Czarnego. Stamtąd cię usłyszą przy Morskiem Oku w schronisku. Ja — nie mogę iść...

Śnieg przestał padać.

— Nie zdążę przed nocą — powiedziała.

— To nic. Staraj się dopaść tylko Czarnego Stawu.

— To... to idę — powiedziała.

— Idź... Jadźka.

Uśmiechnęła się jeszcze ciepło. Zdjęła olimpijkę i okryła mu ramiona.

— Zimno ci będzie — — rzekł cicho.

— Nie — wnet dopadnę Czarnego. Idę.

Ucałowała go gorąco. Widział, jak znowu przechodziła po półce — ostrożnie dochodziła do końca — zapięła deski i jeszcze w mroku dojrzał, jak pozdrawiała go ręką. Nie mógł się poruszyć. Zwolna zamykała się za nią przestrzeń. Poczuł jakieś ogromne zmęczenie. Przymknął oczy.

Jadźka spadała ku Czarnemu. Jechała prawie na oślep. W dole było ciemno. Chwile upływały. Próbowała wołać. Nie mogli jeszcze usłyszeć. Szumiało dokoła. Grał jakiś szum ciężki, staczał się ku dołowi. Razem z nią. Musiała zwolnić. Przewróciła się już kilka razy boleśnie, ale zawsze wstawała natychmiast i parła ku dołowi. Wreszcie dopadła Czarnego Stawu. Nie miała już sił jechać dalej, więc oparła się na krawędzi i poczęła wołać ku Morskiemu.

Kazek siedział przez cały dzień u siebie. Pod wieczór wyszedł na salę do towarzystwa. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, niepokoił się o Jadźkę, włóczył się z kąta w kąt. Ktoś zagrał na harmonji. Zawirowało koło niego kilkanaście par, śpiewano i bawiono się wesoło. Kilkakrotnie wychodził przed dom, oczekując powrotu Jadźki — aż zniechęcony i zdenerwowany siadł w kącie sali. Starał się nie myśleć o nich. Ale ciągle wracali mu przed oczy roześmiani i szczęśliwi — jakich ich widział rano przed schroniskiem. Dotąd nie niepokoił się o nich jeszcze, aż dopiero teraz, pod wieczór, kiedy noc nadchodziła, nie mógł się ich doczekać — zapytywał o nich przychodzących z desek, wyczekiwał ich niecierpliwie. Śnieg przestał padać i uciszyło się za oknem. Wyszedł znowu przed dom. Nie przychodzili. Wrócił do sali, poprosił kogoś do tańca. Żeby nie myśleć.

Wpadł do sali jakiś chłopiec z wołaniem, że od Czarnego Stawu ktoś wzywa pomocy. Przycichli. Gdy wypadli przed dom, daleko przy Czarnym Stawie zapalało się światło. Co kilka sekund zapalało się sześć razy. I przygasało na długo. Jadźka wzywała pomocy.

Zorganizowano natychmiast akcję ratunkową. Obok Górskiego Pogotowia P. T. T. wyruszyli ku Mięguszowieckiemu wszyscy czasowo znajdujący się przy Morskiem Oku. Kazek zdążył jeszcze przesłać Jadźce odpowiedź. Zapalił co kilka chwil latarkę elektryczną trzy razy. Czekał jeszcze światła — ale przy Czarnym Stawie była już tylko noc.

Dopadli Jadźki. Nie opowiadała wiele. Kazek dojrzał łzy w jej oczach — miał z nią zawrócić ku schronisku.

— Kaź — idź ku przełęczy — poprosiła.

Przełamał się. Uścisnął ją mocno i z drugą partją rozpoczął ciężki podchód ku Mięguszowieckiemu. Wspinał się ku górze srebrny wąż światła płonących pochodni.

Tymczasem Staszek przebudził się z omdlenia i próbował się poruszać, żeby nie zmarznąć. Wstał jakoś. Nie zdawał sobie sprawy, ile czasu upłynęło od odejścia Jadźki. W dole — dojrzał światło. Był uratowany. Nie czuł już tego okropnego bólu w nodze, więc próbował zejść im naprzeciw. Zwlókł się jakoś na półkę i ostrożnie, z wysiłkiem przesuwał się po niej. Chwycił go nagle ból — przywarł do grani całem ciałem, żeby się nie zesunąć. Ale nogi straciły oparcie, nie zdołał się już utrzymać zmarzniętemi rękoma i razem ze śniegiem począł się staczać wdół. Zakotłował się nad nim nagły szum — potężniał — to zerwał się nawis śniegu — dopędzał go — —

— — — — — — — —

Godziny upływały. Cierpliwie przesypywali łopatami spadły z Wielkiego Mięguszowieckiego śnieg. Podchodzili krok za krokiem do góry, rozsypani obok siebie, sondowali i odrzucali spadłą lawinę. Nad nimi przyczaiła się wielka cisza. Dopalały się ostatnie łuczywa. W bezksiężycowej nocy na niebie drżały białe i srebrne gwiazdy. Bladły już...

Kazek oderwał się od towarzyszy i począł schodzić wdół. Sam nie wiedział dlaczego tak czyni. I nie wiedział dlaczego ułapiło go coś za gardło, coś, jak jakiś ogromny płacz, jak szloch nagły i duszący. Na ogromnej przestrzeni, przycichłego jakby w jęku, śniegu, czuł się jakoś tak okropnie samotnym. Schodził wdół.

Znagła — zakrzyczało coś w nim. Skoczył w bok i począł biec przed siebie, zapadał się w śniegu, potykał — podnosił i biegł znowu aż tam — na kraj żlebu — dopadł go — — i przykląkł przycichły nad Staszkiem, uniósł go ze śniegu i wzywając ludzi, nacierał mu ręce ciepłem własnych dłoni. Zbiegli ku niemu.

— Żyje. — Rany Boskie — żyje!! wołał Kazek.

Ułożyli Staszka na sankach. Przychodził do siebie. Otworzył oczy i patrzył na nich.

— Szukaliśmy go w śniegu — a jego lawina odrzuciła wbok, i sama poszła niżej — mówił ktoś radośnie.

Dzień wschodził nad Rysami.

Kazek pochylił się nad Staszkiem, odgarnął mu włosy z czoła i zajrzał ciepło w oczy.

— Bałem się o ciebie — powiedział z prostotą.

Uśmiechnęli się do siebie. Ruszyli ku Czarnemu. Schodzili coraz niżej.

Przy Kazalnicy Kazek zatrzymał się i przeczekał aż przeszli — patrzył długo za nimi, jak schodzili — aż szarpnął się, wyprostował i skierował deski gdzieś ku Mnichowi. Odchodził...

Na śniegu rozpalało się słońce...

Twoja Twarz WYMAGA PIELĘGNACJI

★

Twarz pani tak długo pozostanie młodą, jak długo będzie pani umiała bronić jej wrażliwych miejsc, wystawionych najbardziej na wpływ zmęczenia i czasu. Któreż to są te słabe punkty i jak należy je ochraniać? Rozejrzymy się w sytuacji, zaczynając od najbardziej zagrożonych:

★

OPRAWA OCZU.

A B Nie ulega wątpliwości, że przedewszystkiem należy pamiętać o oprawie oczu. Miejsca pod oczami łatwo się psują (A), ukazują się „kocie łapki" (B), a u kobiet, które posiadają wysoko zaznaczony łuk brwi, powieki łatwo wykazują tendencję do opadania.

JAK ZAPOBIEGAĆ? Przedewszystkiem dobrze się wysypiać. Wszystkie kobiety, które posiadają inklinację do tych usterek oczu, przekonały się nieraz, że w czasie kiedy dobrze spały, błędy te ustępowały.

JAK PIELĘGNOWAĆ? Należy nałożyć trochę tłuszczu na górną powiekę, nawet podczas dnia, pod puder. Podczas nocy, chociaż nie należy pozostawiać tłuszczu na twarzy, zostawiamy go trochę naokoło oczu. Pozatem stosować na łuki brwi swoje domowe środki.

MAQUILLAGE: przesada w użyciu maquillage'u czyni spojrzenie ociężałem, to też należy raczej używać kosmetyków bardzo mało i to w jasnym kolorze, szaro-niebieskie lub szaro-zielone.

LINJA BRWI.

C Gra ona dużą rolę w młodym wyglądzie twarzy. Przeczesywaniu brwi należy poświęcić małą szczoteczkę do zębów, a podczas tej czynności trzeba ręką przytrzymać brew, podnosząc ją nieco, a następnie przygładzając ją. Przeszedłszy tę gimnastykę, brwi nie będą miały tendencji do opadania, co tak bardzo przyczynia się do postarzenia twarzy.

USTA.

D E Innym punktem twarzy, który łatwo może być zagrożonym, to kąciki ust (E). Dużo jest młodych jeszcze kobiet, u których zaznacza się zmarszczka (D) między nosem a ustami.

JAK ZAPOBIEGAĆ? Należy wzmocnić dół twarzy, żując nieco twarde jedzenie. Z tych to powodów Amerykanie żują gumę podczas kąpieli i zabiegów kosmetycznych. Duży wpływ na tę zmarszczkę ma zmęczenie i smutek. Niech pani nie myśli, że zmarszczka ta się tworzy, jeżeli pani dużo się śmieje: wręcz przeciwnie, powstanie ona wówczas, gdy pani będzie smutna.

JAK PIELĘGNOWAĆ? Wcierać naokoło ust i w dolną część twarzy przetłuszczone kremy.

MAQUILLAGE. Należy uróżować usta pendzelkiem bardzo dokładnie, unikając podkreślania kącików, jeżeli mają tendencję do „opadania".

PODWÓJNY PODBRÓDEK I SZYJA.

F G Należy traktować szyję tak samo pieczołowicie jak twarz i stosować do niej te same kosmetyki, co do twarzy. Jeżeli dół policzków pani poczyna obwisać, podczas gdy ich górna część się zapada, trzeba żuć gumę, co spowoduje wzrost jędrności mięśni. A oto drugi sposób również dobry: nadąć lekko usta i podtrzymując ucho jedną ręką, masować dół twarzy palcami.

MAQUILLAGE. Usuniemy wyraz ociężałości na twarzy, pokrywając ją pudrem nieco ciemniejszym, niż na górnej części policzków. Należy o tem pamiętać, że części tej nie wolno nigdy różować. Stworzy pani piękną całość, używając różu tylko w górnej części twarzy, podchodząc następnie w stronę skroni. Jeżeli łuk brwi pani jest wysoko zakreślony, należy użyć odrobinę różu między okiem a brwią.

CZOŁO.

H Piękne, czyste czoło jest jednym z najwspanialszych objawów młodości.

JAK ZAPOBIEGAĆ I LECZYĆ? Piękność jego zależy od pani: trzeba tylko uważać na wyraz twarzy. Rano i wieczór powinno się natrzeć czoło odpowiednim do skóry kremem.

MAQUILLAGE. Jakiegokolwiek używa pani pudru, należy na czole stosować puder nieco jaśniejszy, co nieraz przyczynia się do odmłodzenia twarzy.

ZMARSZCZKI MIĘDZY BRWIAMI.

I Zmarszczki te świadczą o pesymiźmie i troskach.

JAK ZAPOBIEGAĆ? Nigdy nie marszczyć brwi, otwierać szeroko oczy i patrzeć odważnie na życie, kochać je i kochać szczęście.

JAK LECZYĆ? Zapomocą trzech najdłuższych palców ręki masować co wieczór zmarszczki, podczas gdy drugą ręką przytrzymuje się skórę czoła.



Czy pilnujesz tych 9-ciu punktów swej urody?

PORANNA GIMNASTYKA



Ćwiczenie pierwsze.

Usprawnienie i wzmocnienie muskulatury brzucha, zwłaszcza dla kobiety, jest rzeczą wielkiej wagi. Podajemy w tym celu dwa ćwiczenia:

Ćwiczenie I. Przyjmujemy pozycję jak na rycinie 1. Ramiona wyprężamy prawie równolegle do podłogi, uda są oparte na podudziach i stanowią niejako przedłużenie tułowia pod kątem rozwartym. Z tej pozycji wychylamy się coraz mocniej całem ciałem ku tyłowi sukcesywnymi, wahadłowymi ruchami. Staramy się przytem, aby nasilenie mięśni koncentrowało się w muskułach brzucha i ud. Ćwiczenie to wykonujemy początkowo 6 razy pokolei, każdego dnia jednak staramy się zwiększyć ilość tych ćwiczeń. Gdy już wykonaliśmy przepisane zadanie, kładziemy się swobodnie na plecach i masujemy brzuch lekkiemi uderzeniami.

Ćwiczenie II. Siadamy w ten sposób, że nogi kurczymy w kolanach, opierając je stopami o posadzkę (jak na ryc. 2). Następnie wyprężamy wgórę ramiona i naprzemian unosimy, to lewą, to prawą wyprostowaną nogę, utrzymując ją w powietrzu conajmniej przez 5 sekund, tzn. liczymy do 5-ciu. Zwolna opuszczamy nogę i stawiamy ją znowu na podłodze (jak na ryc. 2). Gimnastykę tę wykonujemy kolejno 10 razy, poczem kładziemy się nawznak, jak po ćwiczeniu 1-szem i masujemy brzuch lekkiemi, równemi uderzeniami. Wskazanem jest, aby codziennie wykonywać opisane ćwiczenia w coraz szybszem tempie.



Ćwiczenie drugie.

Dokończenie ze str. 5-ej.

ścian — płaskorzeźby, wyobrażające herby: Paryża i 4-ch innych największych miast Francji. Wielki stół mahoniowy ma styl nowoczesny, jak również i krzesła, wyścielane skórą „Havanne“ (tytoniowej). Są tu 3 żyrandole i tyleż gobelinów z XVII w., przedstawiających „Zamek wersalski“, „Zamek Chambord“ oraz „Operę w Luwrze“. Podczas uroczystych obiadów używa się tu cennego niebieskiego sedwisu serwskiego.

Mały stołowy pokój zawiera stół owalny, a zamiast kredensu — na sposób nowoczesny — konsolki z marmurem. Zdobi go piękny gobelin. Większość mebli w stylu Ludwika XIV. Szczególnie ładne są krzesła, misternie rzeźbione, wyściełane złotym welurem. Żyrandol — brąz złocony i kryształ — ma 28 lichtarzy.

Tuż obok — palarnia — prześliczna. Bardzo nowoczesna w stylu. Meble z „bois brossé“ koloru mlecznej kawy. Fotele brązowe. Dywan w niezmiernie interesującem ujęciu kolorystycznem — połączenie odcieniu seledynowego z łososiowym. W oszklonej gablotce — zbiory osobiste pana ambasadora Noëla: cenne okazy numizmatyczne (monety i medale) figurki, porcelana, pięknie oprawne książki, wśród nich kilka „białych kruków“.

Również nowoczesny styl przeważa w gabinecie pana ambasadora. Można się wyrazić, że jest... cały oprawny w skórą „Havane“, której nie brak nawet na biurku ambasadora. Wspaniały gobelin z XVII w. przedstawia „Nawrócenie Konstantyna“. Piękny dywan „Basse Lisse“ utkany jest kunsztownie z wełny i jedwabiu. Duży biust „Republiki“ i żyrandol w stylu Ludwika XV uzupełniają tu rzeczy godne wspomnienia.

Do gabinetu prowadzi poczekalnia i mały salonik, w którym ostatnio nas — przedstawicieli prasy — podejmowali kolejno ministrowie: oświaty Jean Zay i spraw zagranicznych Yvon Delbos. Oczekiwaliśmy na audjencję w poczekalni, utrzymanej w stylu „Empire“, a w barwie zielonej wszystkich odcieni, od najciemniejszego do najjaśniejszego. Interesującym szczegółem jest tu stolik, cały ze szkła z lustrzanym blatem. — Większy stół jest typowym Ludwikiem XV. Wspaniały czarno-biały dywan marokański jest pięknie puszysty, choć... niezgodny z kanonami dywannictwa marokańskiego, nakazującego, by każdy dywan miał siedem kolorów. Sporo tu obrazów — szkoły nowoczesnej. Sam zaś mały salonik audjencjonalny dla mniejszego grona umeblowany jest w stylu Ludwika Filipa, poza fotelami ze skóry koloru czerwonego wina. Dywan marokański w soczystej zieleni. Dwa gobeliny z 1835 roku wyobrażają marszałka de Choiseul i Marin de la Ferté.

Prywatne apartamenty pp. ambasadorostwa i wszystkie bardzo liczne biura poszczególnych wydziałów ambasady i konsulatu są utrzymane w stylu nowoczesnym i wywierają wrażenie promiennej schludności. Wszędzie — moc światła.

Na zakończenie mała uwaga charakteru ogólnego. W planach i projektach „rozbudowy m. st. Warszawy“ figuruje „dzielnica ambasad i poselstw“. Przeprowadziłem małą ankietę na własną rękę, która ambasada i poselstwo zamierza do tej już wytyczonej dzielnicy się przenieść. Okazuje się, że... żadne! Francja ma już taki piękny pałac we Frascati, Niemcy kupili plac na Wawerskiej, Szwecja świeżo wybudowała własny pałac na Bagateli, inni jeszcze nie mają kredytów, reszta zaś planów, ale do sławetnej „dzielnicy ambasad i poselstw“ nie kwapi się nikt. Jeszcze jeden przykład budowania zamków... na lodzie...

H. L.

Dokończenie ze str. 7-ej.

Na Węgrzech, po wspaniałej serji przedstawiającej sceny z życia św. Stefana (wartości za 1, 2, 4, 5, 6, 10, 16, 20, 25, 30, 32, 40, 50, 70 fillerów) ukazały się znaczki za 1, 2 i 5 Pengő z wizerunkiem Regenta Horthy. Znaczki z Madonną zostały wycofane z obiegu.

Nie można pominąć milczeniem dwóch nowych polskich znaczków z Prezydentem Mościckim, ponieważ jednak rozeszły się one bardzo szybko po całym świecie — woleliśmy się wstrzymać z naszą oceną. Zagranicą wypadła ona doskonale, a tylko słusznie barwa 30-groszówki, jako nienadająca się do znaczków z portretami była krytykowana.

Zamieszczamy dzisiaj reprodukcje 2 znaczków — jakże do siebie niepodobnych.

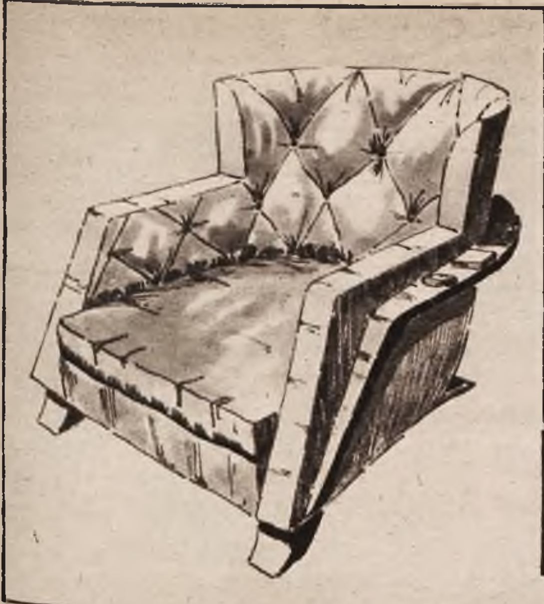
Belgijski Blok wykonany wspaniale heliograwurą, nie jest jednak na dobrą sprawę znaczkiem, a tylko dlatego właśnie wielu filatelistów nie oprze się chęci nabycia go (w Polsce za 2 zł. 80 gr.), ponieważ czujemy dziwną sympatję do kraju — który „chciał się bronić przed najeźdźcą — i zyskał sobie dzięki temu poszanowanie wszystkich“. Również i postać samego króla Alberta jest niezwykłą, i blok ten będzie niejako uzupełnieniem serji, na której widzimy tego monarchę w hełmie.

Francuski znaczek z głową Cerery znany jest nam aż nadto dobrze: przecież już w roku 1849 widzimy go jako pierwszy typ znaczka II. Republiki, a chociaż w czasie panowania Napoleona III. wycofany zostaje z obiegu, pojawia się znowu w roku 1870 w Bordeaux, gdy tam zostaje zorganizowany pierwszy rząd Trzeciej Republiki.

Tylko ta prowizoryczna serja jest drukowana litografją, bo już w czasie oblężenia Paryża trzy inne wartości drukuje się staremi czcionkami, i pozostaną one w obiegu jeszcze przez dobrych kilka lat.

Z okazji największej dotychczasowej wystawy znaczków, upamiętnionej we filatelistyce blokiem „Pexip“ ukazuje się po 60 latach przerwy znowu ten sam znaczek w czterech wartościach w dwukolorowym druku. Ostatnio zaś notujemy jeszcze jeden nowy „samotny“ na razie egzemplarz za 1.75 fr., w kolorze granatowym, ktory jednak będzie miał zapewne już w najbliższym czasie pokaźną ilość „braci“. Znamy przecież niesystematyczność Francuzów, która objawia się we filatelistyce ciągłemi zmianami kolorów i wartościami uzupełniającemi „bieżące“ serje. Tak też notujemy jedno-frankówkę karminową w typie „symbol pokoju“ zamiast żółtej.

W. H.



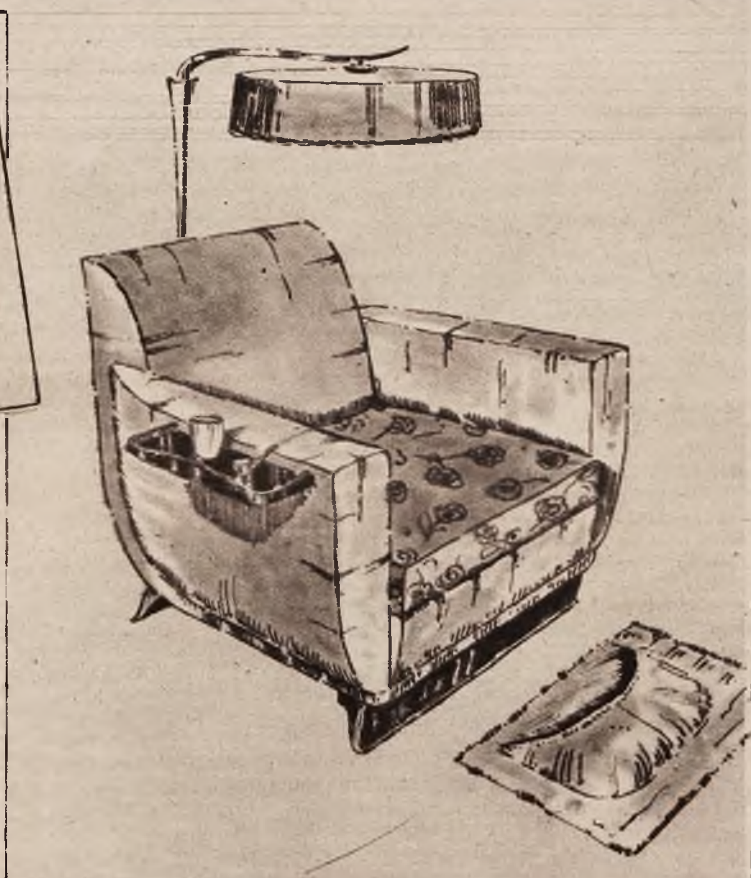
Fotel z biegnącą wokół półeczką.



Ruchoma półeczka fotela.

Na prawo: Fotel uniwersalny z półeczką i lampą oraz „[illegible]" na stopy.

Zanim otworzymy okna...





Oryginalny model krzesła z metalowej rury.

Nie zastanawiamy się naogół nad fizjognomją mieszkania w zimie. Wydaje się nam, że poza kwestją opału przy pomocy pieców czy kaloferytów, nie zmienia ono zupełnie swego wyglądu, ani też my sami nie traktujemy go inaczej, niż w lecie. Ale tu mylimy się najczęściej. W zimie bowiem, w przeciwieństwie do lata, wysuwa się na plan pierwszy użyteczność wygodnych foteli, puszystych otoman, grubych dywanów, miękkich poduszek i zacisznych kącików„ w których nawet w czasie wyjątkowych mrozów jest ciepło i przytulnie.

W lecie interesuje nas zupełnie co innego. Sympatją naszą cieszą się wtedy leżaki na werandzie, lekkie krzesła trzcinowe lub z metalowych rurek, obciągnięte tylko pojedynczą materją, bez polstrowania i poduszek.

Różnice w upodobaniach tych występują nietylko u szczęśliwych posiadaczy wielopokojowych mieszkań, ale także w najskromniejszych mieszkankach, gdzie zwłaszcza pomysłowość pani domu stworzyć może prawdziwe eldorado wygody i przyjemnego pobytu. Zimową porą sposobności jest ku temu więcej, niż latem. Kiedy mąż powraca do domu zmęczony pracą zawodową i nerwowem tempem życia, jakże kojąco podziała na niego krótki chociażby odpoczynek po obiedzie, spędzony w wygodnym fotelu, który można zaadoptować na ten cel w sposób bardzo nowoczesny.

A więc fotel taki musi być samowystarczalny. Specjalna półeczka, dająca się łatwo wsunąć w boczne oparcie, pozwala umieścić obok siebie gazetę, książkę, popielniczkę, zapalniczkę, jakoteż filiżankę czarnej kawy, tak ulubioną przez wielu panów. Nawet i lampę zainstalować można przy takim fotelu uniwersalnym. Umieszcza się ją przy tylnem oparciu w ten sposób, że światło pada z góry, oświetlając doskonale książkę, czy dziennik w rękach czytającego. Wyłącznik elektryczny na poręczy pozwala gasić czy zapalać światło wedle potrzeby. Poobiednia drzemka w takim fotelu jest naprawdę zachęcająca, jak niemniej przeczytanie gazety lub posłuchanie radja. Można przytem umieścić przed fotelem zamiast dywanika (lub na dywaniku) sukienną okrywkę, do której wsuwa się nogi dla ogrzania i wypoczynku po zdjęciu obuwia. Oczywiście, że chowa się ją po użyciu, jak pantofle.

Na Wystawie Paryskiej w ubiegłym roku oglądaliśmy mnóstwo tego rodzaju foteli, mających za cel stwarzanie poczucia komfortu, jaki spotykamy w urządzeniach zamożnych ludzi, w wytwornych hotelach, na statkach itd. Przeważnie mają one, poza wyszukanym kształtem i jak najwygodniejszem polstrowaniem, tę zaletę, że w ich bocznych oparciach umieszczone są różnego kształtu półeczki do umieszczenia drobiazgów, warunkujących wygodę. Nie spadnie wtedy papieros na dywan i nie wypali dziury, bo popielniczka jest pod ręką. Książka nie zrobi hałasu i nie zbudzi z drzemki, bo opierając rękę na poręczy, jakże łatwo można odłożyć książkę na czas, gdy już senność ogarnia.

Jeżeli chodzi o świat kobiecy, to panie mniej zachwycają się fotelami. Wolą natomiast spędzić wolną chwilę w wygodnej pozycji na tapczanie, czy kanapie, wśród mnóstwa poduszek i zabawnych laleczek. Te jednak wychodzą ostatnio z mody. W najelegantszych domach zastępują je skóry dzikich zwierząt, podbite ładnem suknem, utrzymanem w odpowiednich kolorach, przyczem modne są ciepłe, miękkie odcienie. I przy kanapie czy tapczanie umieszcza się wygodne półeczki, dla ustawienia wszelkich drobiazgów, jakie przydać się mogą dla uprzyjemnienia chwil wypoczynku.

Wypoczynek nie jest bynajmniej równoznaczny z lenistwem, a lekarze i hygjeniści przypisują wypoczynkowi współczesnego człowieka coraz większą wagę i znaczenie, zalecając uwzględniać go stale wśród zajęć pracowitego dnia. Pół godziny wytchnienia w wygodnej pozycji siedzącej czy leżącej, uspokaja nerwy, zwalnia bieg rozpierzchłych wśród pracy myśli, daje odpoczynek oczom, które poleca się zamknąć bodaj na 10 minut. — Przypomniano też staroświecki sposób używany dla odprężenia wzroku, jakim było zawiązywanie ich czarną wstążką dla zupełnego odcięcia wszelkiego wpływu światła. Wyśmiewaliśmy się kiedyś z tych naiwnych jakoby sposobików, a dziś nauka potwierdza ich znaczenie.

Rzecz oczywista, że chcąc sobie pozwolić na tego rodzaju odpoczynek domowy, trzeba odpowiednio zorganizować współżycie wszystkich członków rodziny i pouczyć służącą, aby nic nie zakłócało tych niewielu chwil, jakie sobie przeznaczyć dziś można na „dolce far-niente", którego zimową porą organizm nasz wymaga bardziej, niż w lecie. **J. H.**

Poniżej: Obecnie skóra stanowi na kanapie modniejsze nakrycie, niż liczne do niedawna poduszki.



PANI • W • KĄPIELI...

WRACA PANI ZMĘCZONA: 15-MINUTOWA KĄPIEL O TEMPERATURZE 37 STOPNI ORZEŹWI PANIĄ, WZMOCNI, USPOKOI NERWY I USUNIE ZMĘCZENIE. RANKIEM MOŻE PANI TAKŻE DZIĘKI PONIŻEJ PODANYM PORADOM W KILKU CHWILACH I PRZY MINIMALNYCH KOSZTACH SPORZĄDZIĆ KĄPIEL SPECJALNĄ, KTÓRA ORGANIZMOWI I SAMOPOCZUCIU PANI ODDA WIELKIE USŁUGI







I

KĄPIEL SŁONA.

Jest to kąpiel wzmacniająca. Niech pani rozpuści w wannie dwa i pół kilo soli morskiej gruboziarnistej, popularnie nazywanej szarą solą.

II

KĄPIEL LIPOWA.

Uspokajająca. W małym woreczku umieścić 500 gr kwiatu lipowego i włożyć na 20 minut do 5 litrów bardzo gorącej wody. Następnie wylać wodę do wanny, dorzucić 2 gr bromku potasu w kryształku i 10 gramów esencji sosnowej. Po 15 minutach takiej kąpieli będzie pani zupełnie wypoczęta.

III

KĄPIEL Z OTRĄB.

Jest to także kąpiel odświeżająca. Niech pani włoży do 5 litrów bardzo gorącej wody woreczek z 350 gr otrąb, potrzyma 20 minut, a następnie wodę wleje do wanny.

IV

KĄPIEL ALKALICZNA.

Dla tłustej skóry. Proszę wrzucić do wanny 300 gr węglanu sody w kryształkach. Trzeba jednak poradzić się przedtem specjalisty, gdyż ta kąpiel, zwana odtłuszczającą, nie jest dobra dla każdego naskórka.

V

KĄPIEL A LA VICHY.

Alkaliczna dla delikatnego naskórka. Niech pani doda do kąpieli 400 gr dwuwęglanu sody. Ta kąpiel dobra jest dla wszystkich rodzajów skóry w przeciwieństwie do innych.

VI

KĄPIEL ZE SKROBJI.

Łagodzi skórę. W jakiemkolwiek naczyniu należy 500 gr skrobji zbożowej albo ryżowej powoli rozpuszczać w 3 litrach dolewanej stopniowo zimnej wody. Kąpiel przygotować w temperaturze 37—38 stopni. Wlać roztczyn i kąpać się przez kwadrans. Skóra stanie się jedwabista, a pewne zaróżowienia znikną wkrótce.

VII

KĄPIEL PERFUMOWANA.

Bardzo przyjemna. Należy zmieszać 150 gr węglanu bezwodnika sody i 150 gr skrobji ryżu w proszku. Należy to rozpuścić w wannie, dodawszy 10 gr esencji lawendowej.

VIII

KĄPIEL ŻELATYNOWA.

Znakomita dla ciała, które utraciło elastyczność. 300 gr dobrej żelatyny należy rozpuszczać w litrze wody w ciągu mniej więcej dwóch godzin. Żelatyna powinna być pierwszorzędna, biała. Następnie dobrze podgrzaną należy doskonale wymieszać w wodzie w wannie.

IX

KĄPIEL DLA SUCHEJ SKÓRY.

200 gr proszku glicerynowego należy rozpuścić w pełnej wannie wody. Kąpiel taka niezwykle orzeźwi, wzmocni i da miłe samopoczucie paniom o suchej skórze.





„PETITES ROBES"



Sukienka popołudniowa z lekkiej czarnej wełny, przybrana jedwabiem w dwóch odcieniach.
Fot. Mundi — Amsterdam.

Francuska moda sprecyzowała liczne określenia dla sukienek na codzień, które nosi się, wiosną czy latem, w godzinach przed- i popołudniowych. Są to tzw. „petites robes" o kilku nazwach. A więc „robe du matin" na godziny ranne, „robe d'après-midi" do noszenia popołudniu, „robe trotteur" jako sukienka do pracy biurowej jak i do załatwiania sprawunków, wreszcie „robe de ville — sukienka na ulicę, służąca do podobnych celów, jak poprzednia. Również tzw. „robe-manteau" należy do tej samej kategorji sukienek, przyczem praktyczność jej polega na kroju, zbliżonym do płaszczyka, co pozwala na wykorzystanie jej w tym okresie, kiedy wiosną czy latem wychodzimy na ulicę bez okrycia, jakkolwiek same Paryżanki nie lubią ukazywać się bez płaszczyka, dostosowanego do wszystkich nawet najcieplejszych pór roku.

Te wszystkie „petites robes" zmieniają się stosownie do wahań barometru czy termometru i zupełnie inne widzimy ich odmiany już teraz w kolekcjach wiosennych, a inne w letnich. Różnica polega przedewszystkiem na materjałach, z których są wykonane. Krój jest teraz w niemałej od tego zależności.

Sukienki wiosenne mają do dyspozycji materjały z lekkiej wełny, której sposoby tkania są coraz delikatniejsze i bardziej różnorodne, ale nazwy niezawsze odpowiadają ich wyglądowi, jakkolwiek są bardzo sympatyczne, jak Pil Orchidée, Dalmatine, Fenetrette czy Jenette. Inne, jak Angora, Pointillé (kropkowany), Frisolette (kędzierzawy), Whipcord (tkany ze sznurka), dają już wyobrażenie o danej fakturze tkackiej. Obok nich bardzo silnie reprezentowane są jerseye i tweedy, które przedstawiają się coraz barwniej, tworząc sympatyczny melanż kolorowych nitek.

Skoro rozważania nasze doprowadziły nas do odcieni materjałów, przyjrzyjmy się ich zasadniczym kolorom. Najmodniejszym pozostaje nadal niebieski, jako szafirowy, blado turkusowy, granatowy, wallis, stalowy i przechodzący w zielony kolor agawy. Wogóle barwy roślin i kwiatów przodują. Fuksja, begonja, orchidee-storczyki czy banany lub kukurydza, dały impuls do tworzenia modnych kolorów. — Palmę pierwszeństwa otrzyma latem kolor biały, tak w jedwabiach, jak i płótnach oraz delikatnej wełnie flanelowej. Komplety, kostjumy, płaszcze, cape'y będą najmodniejsze całkiem białe.

Rozejrzawszy się w rodzajach i kolorach modnych materjałów, wybierzemy coś najodpowiedniejszego do indywidualnego typu urody i udamy się do krawczyni, aby mieć jak najprędzej wiosenną sukienkę do wszystkiego z pośród typów, wyspecjalizowanych przez Paryż pod nazwami rozmaitych „robes". Jaki ma być krój takiej sukienki? Przedewszystkiem młodzieńczy, wysmuklający, jak najprostszy, łączący te zalety z prawdziwą wytwornością. Oto ogólna recepta, nietrudna zresztą do zastosowania, bo wśród setek modeli, jakie oglądamy na pokazach wielkich paryskich domów mody, nie spotyka się wcale odchyleń od tej zasady. Poczynione z nich reprodukcje rozchodzą się po większych miastach, czyto przy pomocy żurnali mód, czy szkiców rysunkowych, w takich ilościach, że można łatwo sprawdzić ich rodowód, po zapoznaniu się z głównemi wytycznemi.



Na prawo: Efektowna suknia wizytowa z tak modnemi dziś marszczeniami na przodzie z czarnej gazy.
Fot. Georges Saad.



Sukienka przedpołudniowa z bronzowego jerseyu z aplikacjami z tego samego materjału, jednak w odmiennym kolorze.
Fot. Mundi — Amsterdam.

A więc, czy będzie to krój dwuczęściowy, czy sukienka z paskiem lub princesse, spódniczka jest prosta, krótka i wąska, rozszerzona tylko od kolan paroma fałdami lub rozcięciem. Długie rękawy, modelujące rękę, podobnie jak sukienka modeluje sylwetkę. Zapięte wysoko pod szyję, najczęściej przy pomocy błyskawicznego zamku, wykończone są maleńkim kołnierzykiem i barwną krawatką, której kolory powtarza się na kapeluszu. Jeżeli niema kołnierzyka, wiąże się na szyji barwny gazowy szal, podobnie jak to było noszone w zimie.

Prostotę kroju wynagradzają z jednej strony same materjały, a z drugiej wykończenie sukni wieloma dyskretnemi, lecz wyszukanemi szczególikami, jak stembnowanie błyszczącym jedwabiem, ładnie kombinowanych wycięć stanika, czy to przy kieszonkach, czy przy odcinanych karczkach, czy też przy specjalnych wycięciach dekoracyjnych, których zadaniem jest skupianie uwagi na przodzie sukienki przy linji biustu. Proste linje tych dekoracyjnych przecięć działają również wysmuklająco i stąd zastosowanie ich jest bardzo liczne w wiosennych modelach.

Mewa.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

SZCZUPAK W AUSZPIKU. Oczyszczonego dużego szczupaka patroszy się i wymywa dokładnie. Następnie nacina się go wzdłuż grzbietu, odcina głowę i wyjmuje wszystkie ości. Jedną połowę ryby posypuje się solą i pieprzem, siekaną zieloną pietruszką i cebulą, na tem układa się twarde jaja krajane w talarki oraz cienko poszatkowane korniszony, poczem przykrywa się drugą połową ryby, również posoloną, zawija rybę ciasno w płótno i odstawia na godzinę. Tymczasem wygotowuje się wszystkie odpadki ryby z jarzynami, korzeniami i cebulą. Kiedy jarzyny miękkie, scedza się z nich rosół, dodaje szklankę wina, wkłada rybę zawiniętą w płótno i gotuje powoli przez 30—40 minut. Ugotowaną rybę wyjmuje się z rosołu, pozostawia ją w płótnie i przyciska deseczką, zaś do smaku, t. j. rosołu daje się białko wraz z łupką z jaja i zagotowuje razem, aby się smak sklarował i przecedza przez płótno, poczem rozpuszcza się w nim 5—6 płytek żelatyny i polewa tym auszpikiem wystudzoną i ułożoną na półmisku rybę, przybraną gałązkami pietruszki i pikIami. Osobno podaje się sos muszelin (przepis podany był w poprzednim Nrze Asa) lub też tylko ocet i oliwę.

RAGOUT JARZYNOWE (kuchnia nowoczesna). Dużą główkę selera, 20 dkg marchwi karotki oraz tyleż pietruszki oczyścić, wymyć, następnie pokrajać w talarki. Tak przygotowaną jarzynę zalewa się paru łyżkami oliwy i dusi na wolnym ogniu przez pół godziny, poczem dodaje się duży surowy ziemniak, utarty na tarle oraz łyżkę pomidorowej pasty, dolewa 1/4 litra wody i gotuje przez dalsze pół godziny. Tuż przed wydaniem dorabia się smak solą i cukrem, podprawia dobrze rozkłuconem jajem i posypuje na salaterce różnemi drobno usiekanemi ziołami. Dodatek stanowią grzanki z bułki, osmażane na rumiano.

PIECZEŃ Z DZIKA. Mięso dzika, które ma swój właściwy, nie dla każdego miły zapach, musi z tego właśnie powodu leżeć w bajcu 8—10 dni. Bajc do tego mięsa musi być silniejszy niż do innej dziczyzny, więc należy wziąć silniejszy ocet, sporą garść jałowca i pieprzu całego, kilka liści bobkowych, kilkanaście goździków, cztery cebule, 4 marchewki, pietruszki i duży seler (jarzyny pokrajane w talarki), wkońcu skórkę okrojoną z całej cytryny. — Wszystko razem podgotowuje się, wystudza i zalewa mięso dzika. Przycisnąwszy deseczką i ciężarkiem, ustawia się naczynie z mięsem w chłodnem miejscu, pamiętając odwracać je codziennie. Wyjęte z bajcu i opłukane mięso, piecze się lub dusi naszpikowane słoniną, jak każdą inną dziczyznę. Do pieczeni z dzika dodaje się wśród duszenia kilka łyżek marmolady pomidorowej lub porzeczkowej. Wyjętą z sosu gotową pieczeń, obsypuje się bułeczką, oblewa masłem i zapieka w gorącym piecyku, poczem kraje się je w plastry, zestawia zpowrotem w całość i oblewa przefasowanym gęstym sosem z pod pieczeni. Ostre kompoty lub sałaty podaje się do tej pieczeni, również sos Cumberland stosuje się dobrze.

SAŁATA ŚLEDZIOWA. Dwa śledzie mleczaki wymyte i oczyszczone z ości, małą bułkę, rozmoczoną w mleku i wyciśniętą, 2 twarde jaja, 1 jabłko i 5 dkg orzechów lub migdałów puszcza się przez młynek od mięsa. 6—8 sardelek oczyszczonych z ości rozciera się z 5 dkg masła, dodaje pół szklanki gęstej kwaśnej śmietany, łyżeczkę musztardy, parę dkg drobno siekanych kaparków, łyżeczkę tartej cebuli i miesza ze zmielonemi dodatkami. Sałatkę, ułożoną w formie śledzia lub też kopiasto na małej salaterce, przybrać można dowolnie plasterkami cytryny lub gałązkami pietruszki.

BOMBA W TRZECH KOLORACH. Do sporządzenia tej eleganckiej legominy musimy przygotować około litr bitej śmietanki. Podzieliwszy śmietanę na trzy części, dodajemy do jednej części 1/8 litra galaretki malinowej. Wymieszaną na jednolity różowy kolor śmietanę, dajemy na spód formy bombowej, natartej olejkiem migdałowym. Drugą warstwę stanowi śmietana wymieszana z 7 dkg pistacji, 7 dkg migdałów (w tem 3 gorzkie), wszystko obrane z łupki i miałko utłuczone oraz 3 łyżki cukru pudru. Trzecią i ostatnią warstwę śmietany miesza się z 10 dkg czekolady, rozmiękczonej w cieple i roztartej z 7 dkg cukru, rozgotowanego w paru łyżkach wody. Czekolada musi być ostudzona przed zmieszaniem jej ze śmietaną. Dobrze wypełnioną i zamkniętą formę bombową stawia się w drobno utłuczonym posolonym lodzie na kilka godzin.

TORT „FLADEN" (z recept babuni). 6 żółtek, 12 dkg cukru, 8 dkg czekolady tartej i łyżkę marmolady uciera się razem i dodaje 12 dkg mielonych orzechów. Masę tę układa się na spodzie tortownicy, smaruje konfiturą z róży i nakłada masę białą: pianę z 6 białek ubija się z 12 dkg cukru, dodaje 12 dkg mielonych parzonych migdałów sok i otartą skórkę z 1 cytryny. Piecze się powoli w miernie gorącym piecyku.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Śniadanie angielskie, odznaczające się zarówno pożywnością, jak i smacznym doborem potraw, składa się przedewszystkiem z sucharków (toast), pokrytych płatkami przyrumienionej słoninki oraz z jajecznicy lub sadzonych jajek. Przygotowywanie toastów odbywa się w podręcznej suszarce elektrycznej, do której tuż przed śniadaniem wkłada się przykrojone kromki chleba, celem mniej lub więcej silnego przyrumienienia ich. Oto widzimy elektryczną maszynkę do toastów.



Przecieranie jarzyn i owoców wymaga osobnych siteczek, które udało się ostatnio praktycznie „zmotoryzować". Wśród wielu modeli wyróżnia się zreprodukowane obok sitko z korbką i tareczką, pod którą rozgniatają się cząstki na miazgę, wychodząc z naczynia w postaci idealnego purée.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 12 — **Marzec** — 31 dni



NIEDZIELA 13 Krystyny
Flaczki z pulpetami w miejsce zupy. Pularda z kompotem i krokietami z ziemniaczków. Tort "Fladen" lub bomba w trzech kolorach.
Kolacja: Pasztet z wątróbki.

PONIEDZ. 14 Matyldy
Barszcz na rosole z uszkami. Brukselka lub salsefia z masłem. Rulada cielęca z nerką. Purée ziemniaczane. Kompot z śliwek suszonych.
Kolacja: Hachée z mięsa z rosołu.

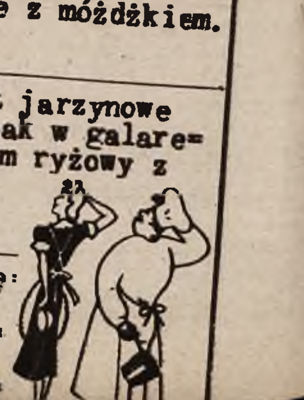
WTOREK 15 Longina
Zupa grochowa na wędzonce z grzankami. Faszerowana kapusta. Pieczeń z dzika z ostrą sałatą z czerwonej kapusty i fasolki. Naleśniki z serem.
Kolacja: Szpinak z parówkami.

ŚRODA 16 Lubina
Kwasówka z kiszonej kapusty na śmietanie. Bulwy w sosie holenderskim. Zrazy z kaszą częstochowską. Krem kawowy z biszkoptami.
Kolacja: Ozorki cielęce w pomidorach.

CZWARTEK 17 Gertrudy
Zupa jarzynowa purée z grzankami. Rizotto na podróbkach. Rozbratle duszone z makaronem. Strudel z makiem.
Kolacja: Paszteciki omletowe z móżdżkiem.

PIĄTEK 18 Edwarda kr.
Krupnik na śmietanie. Ragoût jarzynowe z grzankami z chleba. Szczupak w galarecie z sałatką jarzynową. Krem ryżowy z śmietaną.
Kolacja: Sałatka śledziowa, chleb, masło.

SOBOTA 19 Józefa Oblub.
Rosół z makaronem. Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Pieczeń jelenia z brusznicami. Kruchy placek z serem.
Kolacja: Wędzone ryby bałtyckie.



HOCKI-KLOCKI

ZAPALONY MUZYK W HOTELU.



.... („Esquire").

Rozwiązania Nru z 10-go.

ZNOWU POKREWIEŃSTWO.

A i C są małżeństwem.

NA STACJI.

37½ km na godzinę.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

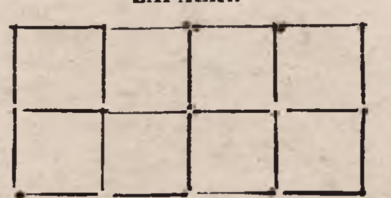
DWA ZEGARY.

O północy dwa zegary wskazywały tę samą godzinę. Jeden jednak śpieszył się, drugi zaś spóźniał o minutę. Jeśli zegary w dalszym ciągu będą się tak samo śpieszyły względnie spaźniały, to kiedy znowu będą wskazywać dokładnie tę samą godzinę?

SAMOLOT.

Samolot leci na wysokości 1,600 m nad ziemią z szybkością 90 km na godzinę. Jeżeli lotnik zrzuci bombę, w jakiem miejscu spadnie ona na ziemi?

ZAPAŁKI.



Z dwudziestu dwu zapałek ułożono osiem kwadratów, tak, jak to wskazuje rysunek. Proponujemy czytelnikom usunąć sześć zapałek w taki sposób, aby pozostały tylko cztery kwadraty.

SZNUR.

W łódkach siedzi dwóch ludzi, A i B. Każdy z nich trzyma koniec sznura długości 15 m. Sznur A jest przywiązany do słupa na brzegu, zaś sznur B trzyma w ręku stojący na brzegu trzeci człowiek C. A i B ciągną sznury z jednakową siłą „ręka za ręką", by w ten sposób przyholować swe łodzie do brzegu. C ciągnie sznur w podobny sposób i z tą samą siłą, co każdy z dwóch ludzi w łódkach. Kto pierwszy dostanie się na brzeg, A czy B?

PISARZE I NUMERY.

„Stary pan Literacki dał nam do rozwiązania test, który nazwał „testem utożsamiania".

„Na czem polega ten test?" — spytała zaciekawiona Lora.

„Pan Literacki przeczytał opis wyglądu sześciu pisarzy — Tuwima, Leśmiana, Wierzyńskiego, Lechonia, Słonimskiego i Staffa. Następnie pokazał nam portrety wszystkich sześciu, każdy oznaczony innym numerem. Numery mieliśmy zastąpić odpowiedniemi nazwiskami".

„No i jak ci się powiodło?"

„Tylko raz trafnie zgadłem. Oto moja lista: 1 — Tuwim, 2 — Wierzyński, 3 — Lechoń, 4 — Słonimski, 5 — Staff, 6 — Leśmian. Hela trafnie utożsamiła dwa portrety. Powiedziała ona, że pierwszym był Lechoń, 2 — Leśmian, 3 — Słonimski, 4 — Wierzyński, 5 — Tuwim, 6 — Staff. Natomiast Dora odgadła aż trzykrotnie: 1. — Leśmian, 2 — Słonimski, 3 — Staff, 4 — Lechoń, 5 — Tuwim, 6 — Wierzyński".

„O, to wszystko wygląda na dosyć zawikłaną łamigłówkę", zawołała Lora. „Ale poczekaj, muszę się zastanowić, jakie fakty można wywnioskować z uważnego przeczytania trzech rozwiązań testu".

Jakim numerem opatrzył pan Literacki portret Tuwima?

NIEPOROZUMIENIE MAŁŻEŃSKIE.



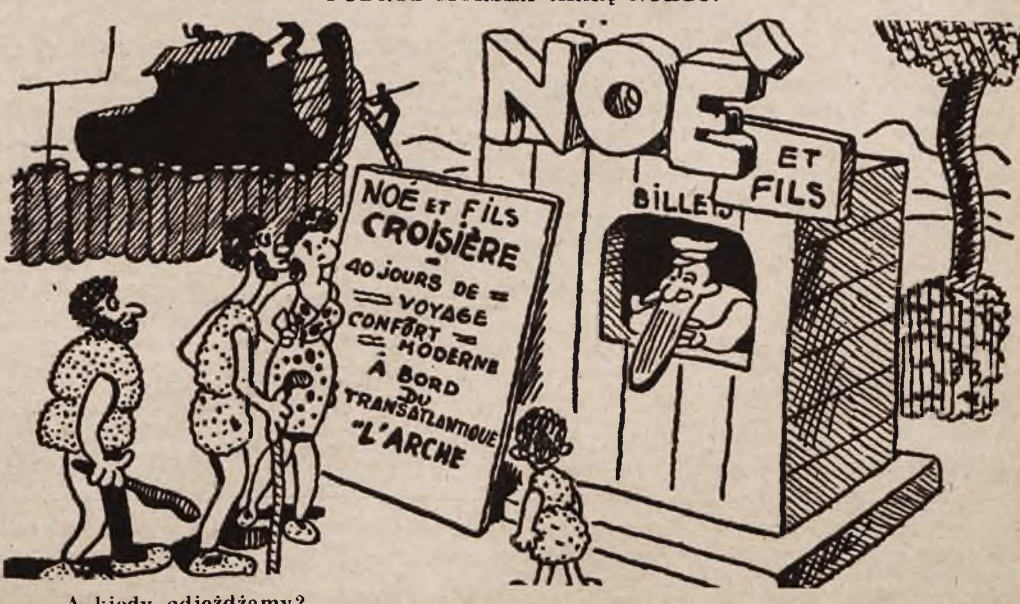
— Nie wymyślaj mu on nie rozumie po angielsku! („Esquire").

SANKCJE GOSPODARCZE.



— A co znajduje się w tych wagonach, które czekają tu na pozwolenie wjazdu od pięciu miesięcy?
— Świeże jaja... („Ric et Rac").

PODRÓŻ MORSKA ARKĄ NOEGO.



— A kiedy odjeżdżamy?
— Przy pierwszym potopie... („Ric et Rac").

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

„Maurycy A. Beniowski". Mieczysław B. Lepecki. Niema tak obfitej historji danego kraju, któraby pozwalała na zapominanie o wybitnych postaciach. Polska posiada historję pełną takich wspaniałych postaci — ale nie usprawiedliwia to faktu, że wiele z nich pogrąża się w zapomnieniu, że nie prostuje się błędnych i uwłaczających oświetleń tych postaci przez obce pióra. W dziedzinie zdobywania obcych lądów, w szlachetnym podboju dalekich wykrawków ziemi wtedy, gdy nie było Ojczyzny, by polską flagę na znak podboju dla Polski na nich zatknąć — szczupła jest nasza historja, a nawet te fragmenty jej, potężne akordy, które są — toną w zapomnieniu i obojętności. Do tych bohaterskich postaci, tak mało u nas znanych, a tak przeważnie oczernionych w źródłach zagranicznych, należy Maurycy August hr. Beniowski. Całe jego życie — to epopeja nadzwyczajnych czynów, wpośród których nie zapomina on nigdy, że jest Polakiem. Widzi go prawie cały świat, Kamczatka, wyspy japońskie, Madagaskar, Azja i Afryka, pół Europy i Ameryka. A wszędzie jest wspaniały i nawet w dniach klęski — zwycięzcą. Polak cesarzem Madagaskaru — czyż to nie wspaniały temat! A jakże mało poruszany w polskiej literaturze po akordach Słowackiego! Toteż z największem zainteresowaniem czyta się książkę o Beniowskim pióra mjra **M. B. Lepeckiego**, wydaną właśnie przez **„Książnicę-Atlas"** w ozdobnej szacie z licznemi ilustracjami. Spokojnie i rzeczowo napisana, daje nietylko cały życiorys fantastycznego bohatera polskiego, lecz również prostuje wszystkie błędne i oszczercze wersje, spotykane o Beniowskim w literaturze obcej, podkreślając te jego zalety, które w innej epoce, z oparciem o wolną ojczyznę, uczyniłyby z Beniowskiego wielkiego pioniera polskiej idei kolonizacyjnej. Książka nietylko potrzebna — książka piękna i ważna! **w. z.**

NA SCENIE.

KRAKÓW. Premjerę dramatu Rittnera **„W małym domku"** poprzedziła uroczystość jubileuszowa Józefa Karbowskiego. Wojewoda krakowski Tymiński udekorował jubilata złotym Krzyżem Zasługi. Po przemówieniach prezesa Zw. Aktorów Scen Polskich J. Śliwińskiego, prezesa krakowskiego oddziału Zw. Zaw. Literatów Pol. J. Wiśniowskiego, dyr. K. Frycza oraz przedstawiciela zespołu aktorskiego (K. Fabisiaka) i personalu technicznego, odczytano niektóre z nadesłanych depesz gratulacyjnych, m. in. od prezydenta m. Krakowa dr Kaplickiego naczelnika wydz. sztuki w min. oświaty dr Zawistowskiego i in.

Jubilat odegrał rolę doktora w „Małym domku", odnosząc zasłużony sukces w tej kreacji. Doskonale spisała się p. Romana Pawłowska jako „gąskowata" Marja. P. K. Szubert był wybornym Sędzią, a p. J. Wernicz — Sędziną. P. Modzelewski odtworzył postać donżuana inż. Jurkiewicza, p. M. Bednarska — siostry doktora, Wandy, p. T. Kondrat — nauczyciela Sielskiego. Reżyserował J. Karbowski. Dekoracje p. K. Gajewskiego.

LWÓW. W Teatrze Wielkim wystawiono sztukę **„Niezwykła podróż"** Suttona Vane'a, ukazującą nasze życie pozagrobowe. Myliłby się ten, ktoby mniemał, że jest to sztuka ponura i melancholijna: przejście na „drugi brzeg" odbywa się nie w łodzi Charona, lecz na eleganckim okręcie. Dopiero pod koniec widowiska pasażerowie dowiadują się, iż należą do... umarłych.

Świetną oprawę dekoracyjną skomponował p. M. Różański. P. Solarski wybornie odtworzył postać Priora, a p. Żmijewska — lady Banke. Z innych wykonawców trzeba wyróżnić pp. Staszewskiego, Szyndlera, Barwińską i Zintela.

WILNO. Z okazji gościnnych występów Jadwigi Zaklickiej zaprezentowano „Wiele hałasu o nic" Szekspira w inscenizacji T. Trzcińskiego. Zaklicka daje jako Beatrice jedną z najkapitalniejszych swych kreacyj. Poza nią można wymienić pp. Wołejkę, Surową, Michalską.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 13 marca.

9.00 Transmisja nabożeństwa z Wilna.
10.30 Muzyka z płyt.
12.03 Poranek symfoniczny z Łodzi.
13.10 „Jamioł" — nowela Henryka Sienkiewicza.
13.30 Muzyka obiadowa (ze Lwowa).
15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.05 Koncert kameralny.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
19.00 Teatr Wyobraźni: „Turniej w Perpignano" — reportaż imaginacyjny.
19.35 Słynni wirtuozi (XIV audycja).
21.15 „Precz z kobietami" — wesoła audycja.
22.00 „Opowieść o Beethovenie" (IV audycja) — „Nieśmiertelna kochanka".

Poniedziałek, 14 marca.

11.40 Muzyka z płyt.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Muzyka rozrywkowa w wyk. orkiestry mandolinistów.
17.00 „Wpływ odkryć i wynalazków" — odczyt
17.15 Recital fortepianowy Sari Hir.
18.10 Pieśni Luigi Denzy (płyty).
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Dyskutujmy: „Czy organizacje kobiece mają rację bytu".
20.00 Koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry symfonicznej P. R.

Wtorek, 15 marca.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Śpiewają Ninon Vallin i Armand Crabbé (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Wielki samouk — Jerzy Stephenson" — aud. dla dzieci.
16.20 Koncert orkiestry Straży więziennej.
17.00 Wielki kanion rzeki Colorado — feljeton.
17.15 Muzyka kameralna.
19.00 „Przy stoliku literackim" — gawęda młodych pisarzy.
19.30 „Polska twórczość chóralna".
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich" — Apolinary Szeluta.
21.45 Melodje taneczne w wyk. Małej orkiestry P. R.

Środa 16 marca.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Mendelssohn: fragmenty z muzyki do „Snu nocy letniej".
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci starszych.
16.15 Muzyka rozrywkowa (z Łodzi).
17.00 „Walka państwa z lotnictwem nieprzyjacielskiem" — odczyt.
17.15 Sonaty na wiolonczelę i fortepian — koncert z Torunia.
18.10 Wiązanki jazzowe w wyk. orkiestry Louis Levy (płyty).
19.00 „Operacja" — scena z powieści Rogera Martin du Gard.
19.20 Nastrojowe piosenki wykona Vera Gran.
19.35 „Samotność starości" — gawęda Starego Doktora.
20.00 Koncert rozrywkowy (płyty).
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Haliny Sembrat.
21.45 „Nieprzemijający urok poezji" — „Urok prymitywu", kwadrans poetycki.
22.00 Popularna muzyka operowa.

Czwartek, 17 marca.

11.15 „Marsze i pieśni żołnierskie" — poranek dla młodzieży.
11.40 Gra Gaspar Cassado (wiolonczela) — (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Wędrówki muzyczne" — audycja dla młodzieży.
16.15 Muzyka dwufortepianowa.
17.00 Wiedza i książka: „Nowe publikacje o współczesnych prądach filozoficznych" — odczyt.
17.15 Muzyka rozrywkowa (z Poznania).
18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej.
19.00 „Lawina" — słuchowisko Rafała Malczewskiego.
19.30 Piotr Czajkowski: fragmenty z baletu „Śpiąca królewna" — (płyty).
20.00 Mozaika muzyczna.
21.00 Koncert europejski z Irlandji.
22.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki Józefa Czechowicza.
22.15 Pieśni włoskie z końca XVI stulecia — koncert.

Piątek, 18 marca.

11.15 Audycja dla szkół
11.40 Stanisław Moniuszko: fragmenty z op. „Halka" (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Od szybki z okna do szklanych domów" — pogadanka.
16.15 Koncert orkiestry wojskowej.
17.00 „Zwiedzamy ośrodki zdrowia" — feljeton.
17.15 Nasze pieśni — w wyk. Heleny Zboińskiej - Ruszkowskiej.
18.10 Polskie tańce w obcej muzyce baletowej — koncert z płyt.
19.00 Komedje A. Fredry, wieczór VI „Pan Geldhab".
19.30 Pieśni w wyk. Chóru Akademickiego.
20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.

Sobota, 19 marca.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Utwory Ignacego Paderewskiego (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 Teatr Wyobraźni „O kocie, który chodził własnemi drogami" — słuchowisko dla dzieci w/g R. Kiplinga.
16.15 Koncert rozrywkowy ze Lwowa.
17.00 Fragment ze wspomnień Artura Śliwińskiego o Józefie Piłsudskim.
17.15 „Od Aten do Bayreuth" — audycja VII.
18.15 Polska muzyka rozrywkowa (płyty).
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
19.50 Przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego, poświęcone Józefowi Piłsudskiemu.
20.00 „Z naszej niwy": — koncert w wyk. Małej Orkiestry
22.00 Koncert popularny w wyk Orkiestry Wileńskiej.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.